

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Nie wolno narzucać myśli uczonego innego warunku prócz tego, by była prawdziwa, projektowi technicznemu — by był użyteczny, dziełu artystycznemu — by było ludzkie.

Z „Manifestu Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego”

Fok 2

Łódź, 24 czerwca 1946 r.

Nr 24 (42)

JULIAN TUWIM

## WIERSZE

### Do losu

Miłość mi dałeś, młodość górna,  
Dar ładu i wysokie żądze.  
I jeszcze, na uciechę durniom,  
Racyleś dać mi i pieniądze.

Płonącą kroplą obłakania  
W mózg szary mój wsączyłeś łezce  
Miraż wstają wśród mieszkańca,  
Palcami w stół na lutni dźwięcząc.

I gdy poniosło, to już niesie,  
Roztrącam dni i rwę na części,  
I w zgiełku wieku i w rwetesie  
Ubrdało mi się jakieś szczęście.

Rytmowi przebieg chwil powierzać,  
Apollinowym drząc rozmysłem,  
Surowo składać i odmierzając  
Wysokim kunsztem słowa ścisłe.

I kiedy kształt żywego ciała  
W nieład rozpadnie się plugawy,  
Ta strofa zwarta, zwięzła, cała,  
Nieporuszona będzie stała  
W zimnym, okrutnym blasku sławy.

Smutku! Uśmiechu! Melancholio!  
W bęben żałobny bije gloria...  
I smutnie brzmi: „Dum Capitolium...”  
I śmiejąc jest: „Non omnis moriar”.

### Quatorze Juillet

Już jest gotów. Nosi strój odświętny:  
Żółte buty, frak nałatalinowy,  
Krawat lila, „półkoszulek” zmięty  
I błyszczący kołnierzyk gumowy.

W mętnym lustrze z ramą pozłacaną  
Widzi pysk spasiony, łusną szyję.  
„Polsko”, szepce, „Łojczyzno kochano!”  
I ty Francjo — oto jezdem — niech żyje!

JEGO święto dzisiaj, w tę rocznicę  
Czarnych tłumów, krwi, szalu, wściekłości,  
Kanonady, co prażyła ulice  
W burzy słodkiej francuskiej wolności!

JEGO święto dzisiaj! On dziś będzie  
Dawigał sztandar rzeźnicki cechowy,  
On w resursie dziś wieczór zasiądzie,  
„Wiwe láfrans!” będzie krzyczał wśród mowy!

On, baluszając oczy, będzie śpiewał  
Marsylianek z cechową starszyszną  
I sztandarem na jej cześć powiewał,  
Myśląc: „Francjo! Moja druga Łojczyzno!”

On to właśnie, on — rzeźnik cechowy —  
Bunt świętuje i leżkę ociera,  
On — sojusznik rewolucji lipcowej,  
Korfantego, wszystkich świętych i Hallera!

Lecz, gdy kiedyś będzie szedł z obchołu,  
Już nie zdąży na „sztukamię” do domu’  
— Ty, Madame, z wzburzonego narodu  
Skoczysz nagłe, błysniesz błyskiem gromu!

I dopędzisz go! I jak szalona  
W pysk go bitem smagniesz wśród ulicy.  
Rewolucjo! Amazonko czerwona!  
O, płomieniu czalatej stolicy!

### Scherzo

Śpiewała wesoło — i nagle w śmiech,  
Sam śpiew ją rozśmieszył: że śpiewa,  
I śmiech zaczął sypać ze śpiewem jak śnieg,  
I śmieje się, śmieje, zaśmiewa.

Bo jak się tu nie śmiać? Wydłuża się głos  
I dźwięki i dzwonki nawija  
Na nuty, na nitki, na strunki jak włos  
I piankę ze srebra ubija.

Wesoło się śmiała — i nagle w płacz,  
Sam śmiech ją rozplakał i trzęsła,  
I lka i zanosi się łzami: „No patrz!”  
No patrz! rozplakało się szczęście!”

Uleciała powoli, i rękę na pierś  
Jak lilie na grobie, składa.  
I patrzy daleko — i widzi śmierć,  
Bezmyślna, zastygła i blada.



JULIAN TUWIM

### Odpowiedź

Gdzież mnie do poematów? Ledwo wiersz wyksztusze  
Z rozdygotanej krtani, drząc o każde słowo,  
Trwożąc się, czy coś znaczysz, o zawodna mowo,  
Dla której dźwięków tajnych żyć i umrzeć musze.

Znakami czarnej męki pstrząc białe arkusze  
Modle się, płacze, płonę, śmierć słysze nad głową,  
Oczy na świat podnoszę — świat patrzy surowo,  
A ja myślałem przecież, że niebiosą wzrusze.

Spróbuj, proszę, lancetem na swej własnej dłoni  
Wyręć choć jedno słowo, którym serce peka,  
A potem prawdę powiedz: rozkosz to czy męka?

Takbym poemat pisał, co mi z ziemi dzwoni,  
Takbym to zasluchanie żarem krwi roztrwonil.

### Pogrzeb Prez. Narutowicza

Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni.  
Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie,  
Wy, w chichocie zastygli, bladzi, przestraszeni,  
Chodźcie, głupcy, do okien — i patrzcie! i patrzcie!

Z Belwederu na Zamek, tętnicą Warszawy,  
Alejami, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem,  
Idzie kondukt żałobny, krepowy i krwawy;  
Drugi raz Pan Prezydent jest dzisiaj na mieście.

Zimny, sztywny, zakryty chorągwią i kirem,  
Jedzie Prezydent Martwy a wielki stokrotnie,  
Nie odwracajcie oczu! Stać i patrzeć, zbiry!  
Tak! Za karki was trzeba trzymać przy tym oknie!

Przez serce swe na wylot pogrzebem przeszyta,  
Jak Jego pierś kulami, niech widzi stolica  
Twarze wasze, zbrodniarze, — i niech was przywita  
Strasznym krzykiem milczenia żałobna ulica.

### Kwiaty polskie

(Fragment poematu)

Wiatr, tobie, Boże, huczał pieśń,  
Gdyś z mroków wykrzesywał świat.  
Chaosu świadek i rówieśnik,  
Wiatr tobie, Boże, huczał pieśń.  
Wodami wstrząsający wiatr,  
Wiatr — gniew otchłani zbuntowanej,  
Potęgi twojej pierwszy bard,  
Homer genezis opętany,  
Co w chwilejbie wprawił ocean  
Rytmicznym rykiem swoich skarg  
I taki był ów zryw stworzenny,  
Taki prawiechru tobie hymn,  
Że wód wzburzonych ogrom pienny  
Do dziś w kolysie trwa bezsennym.  
Pomrukiem w brzegi bijąc złym.  
Do dziś — bylinnik, rapsod, epik,  
Początku chmurobrody dźwięk,  
Pierwojnej wojny wiarus ślepy —  
Wspomnienia szumne lubi wiatr..

Tak aktor, tragicz starszej szkoły,  
Co w rolach królów grzmiał przed laty,  
Wspomina młodych dni żywioły:  
Pięćoaktowe swe dramaty.  
A ten najczęściej: gdy w zamęcie  
Rozpoczy starce, w noc burzliwa  
Przy gromów akompaniamencie,  
Łbem skołatany dziko trzęsąc,  
W chłoseczące niebo wznosi pięści  
I klnie swą dolę nieszczęśliwa...  
Lub gdy przedśmiertnie obłąkany,  
Trupowi córki ukochanej  
Zaje swe szloch, kłęski, krzywdy,  
Błosi chwytając się za szyję  
I — „Nigdy! nigdy! nigdy! nigdy!”  
I po raz piąty „Nigdy!” wyje.

### W nocy

Obudzony w środku życia,  
jak aptekarz w środku nocy,  
patrzę, jeszcze snem nalany,  
w twoje oczy natarczywe.

Słucham, jeszcze snem szumiący,  
prośby prostej a niezłomnej  
niebezpiecznej jak recepta  
pijanego niedouka.

Jakże można bez pukania  
prosto w serce i tak głośno,  
kiedy tutaj same szepoty  
suchych ziół i somnilingwy.

A w pokoju, skąd wyszedłem  
obudzony w środku życia,  
czarny krzyż na wapnie ściany,  
Tacyt, zegar i nieszczęście.

Niech już dośnie, niech dośpięwam  
tristia noctis taciturnae,  
co tik — takim potakują  
starej wierze, księgom starym.

Więc nie buntuj trucizn w butlach,  
tafle lśniącej idealnej,  
Noc, powiadam; świat zamknięty;  
nie budź smutnych do radości.

Zerwij z nocy liść księżycy,  
a ja swoje będę szeptał,  
otul serce martwym blaskiem,  
zapadając w somnilingwę,

w somnilingwę, w somnifere,  
w nieruchomą otchłani trwania;  
i tak usne, zapatrzonny  
w czarny krzyż na białej ścianie.

### Comoedia divina

A jednak we Florencji załamałem rece,  
Zimne stelle dantejskie błagając o słowo.  
Trzynastowieczny, suchy, tworzacy surowo,  
Stąd patrzył w gwiazdy nasze, w dziwacznej Firenze.

I była ledna chwila, kiedy wspólnem sercem  
Uderzyła skroś wieki jedna miłość w niebo.  
I spadło gwiezdny deszczem pięć tysięcy tercyn  
Na rozmodlone usta poety obcego.

STANISŁAW A. MAJEWSKI

# Współczesna polityka kolonialna mocarstw zachodnich \*)

## KOLONIE, KOLONIE...

Wielka epopeja kolonialna, której początki sięgają wieku XV, doszła do punktu kulminacyjnego przy końcu wieku XIX. Szaber kolonialny w ostatnich dziesięciokach minionego wieku przeszedł do historii jako początek nowej ery. Odtąd nie było już więcej bezpiecznych terytoriów. Świat został podzielony. Biada tym, którzy się spóźnili! Odtąd każda próba uzyskania kolonii przez nowy ich podział musiała niechybnie prowadzić do krwawej zawierchy światowej. Prób tych nie brakło. W r. 1898 Anglia była o włos od wojny z Francją o nowy podział Afryki centralnej; była to głośna sprawa Fasody. Dwukrotnie w krótkim odstępie czasu, w r. 1905 i w r. 1911 nie wiele brakowało do wybuchu wojny między Anglią a Niemcami o Marokko. Każda wojna w wieku XX była w istocie swej walką o kolonie. W pierwszej wojnie światowej Niemcy wyruszyli na podbój kolonii francuskich i belgijskich. W drugiej wojnie światowej Trzecia Rzesza chciała zamienić Europę w swoją kolonię, zdobyć Azję i Afrykę północną.

W ekonomii kapitalistycznej kolonie stanowią pozycję nie byle jaką. Stanowią one źródło tanich surowców. Są one często rynkami zbytu dla nadmiaru produkcji krajowej. W wypadku wojny tubylcy w koloniach stanowią cenny rezerwuuar sił ludzkich. Terytoria o klimacie umiarkowanym, w których bieli mogą się osiedlać, służą w czasach wzmoczonego bezrobocia jako kłapa bezpieczeństwa socjalnego. Dla wielkich zaś koncernów, trustów i karteli kolonie są prawdziwym Eldorado. Można do nich wywozić nadmiar kapitału i korzystając z niezwykle taniej robocizny tubylców, ciągnąć niewspółmiernie wysokie zyski z dokonanych inwestycji. Nigdzie nie ma „klimatu” tak bardzo sprzyjającego kartelowym oligarchom jak na dziewiczych terenach kolonii! Kraj macierzysty jest daleko. Władza instytucji państwowych jest pozorna. Nie ma tu żadnej kontroli ze strony opinii publicznej. Nie ma organizacji zawodowych i społecznych, które w kraju macierzystym jednak przeszkadzają kartelom. W koloniach koncerny prowadzą własną suwerenną politykę, a nawet wójują z miejscowymi kacykami. Nigdzie nie można tak brutalnie uprawiać wyzisku, jak właśnie w koloniach. Co więcej — można to wszystko robić pod maską szerzenia zachodniej kultury, nawracania na wiarę chrześcijańską i rozciągania opieki moralnej nad cywilizacyjnie młodszym bratem. Co bowiem wiedzieć może szary człowiek o stosunkach panujących w koloniach? Akurat to, co mu podają do wiadomości agencje prasowe, będące na służbie kartelowych oligarchów oraz usłużni lub naiwni reporterzy, którzy szukają egzotyki sielsko-anielskiej.

Od początku wieku XX idea kolonii coraz bardziej nabrzmiewała namiętnością. Około niej krystalizowała się duma i pycha tych, którzy zdobyli kolonie (beati possidentes!), a zawiść i nienawiść tych, których los pokrzywdził. Posiadanie kolonii stało się znamieniem mocarstwowości. W okresie międzywojny światowi wójeści do mocarstwowości, pretendowało nawet najmniejsze państwo. Myśl o koloniach stała się ideą-force w dosłownym znaczeniu, ideą mianowicie, która wyzwoliła siły o rozmiarach niezmiernych w historii i doprowadziła dwukrotnie do zderzeń zbrojnych, które raz na zawsze położyły kres gospodarczemu i kulturalnemu przewodnictwu Europy zachodniej w świecie.

## MIĘDZYNARODOWE PRAWO KOLONIALNE

Szczęśliwi posiadacze kolonii zawładnęli nimi *via facti*. Ponieważ u podstaw wszystkich imperiów kolonialnych leży niczym nieosiągnięta pomoc, nie było łatwą rzeczą zalegalizowanie faktycznego stanu posiadania jakimś ramowym bodaj prawem międzynarodowym. Pierwsze próby w tym kierunku zostały poczynione na konferencji w Berlinie w r. 1884/5 i na konferencjach w Brukseli w latach 1890—92. Konferencje te zakończyły się podpisaniem umowy w sprawie Konga. Umowa ta ustanawiała wolność handlu i żeglugi w Afryce centralnej od oceanu do oceanu. Zakazywała ona importu broni palnej i alkoholu do Afryki tropikalnej. Traktaty pokojowe zawarte po pierwszej wojnie światowej i statut Ligi Narodów

stanowią drugą, znacznie już szerszą próbę ustanowienia jakiegoś międzynarodowego stanu prawnego w koloniach. Ustanowiono tam międzynarodowe prawo kolonialne odnośnie do obszarów zabrzanych Niemcom i Turcji. Wszystkie te obszary uznał art. 22 statutu Ligi Narodów za mandaty powierzone poszczególnym mocarstwom w zarząd.

Ustanowiono 3 rodzaje mandatów. Mandaty „A” (Syria, Palestyna, Transjordan, Irak) powierzono mocarstwom kolonialnym zasadniczo na czas krótki, bliżej nieustalony, mianowicie aż do takiego ustalenia się stosunków, jakie uznano za warunek zgody na suwerenność i niezależność państwową tych terytoriów. Mandaty „A” obejmują terytoria o wielkiej przeszłości kulturalnej i o wyraźnie określonej fizjonomii geograficzno-politycznej.

Mandaty „B” (Togo, Kamerun, Tanganika, Ruanda) powierzono mocarstwom w bezterminową administrację, nakładając na nie obowiązek podniesienia poziomu moralnego i dobrobytu ludności kolonialnej. Mandaty „C” (Południowo-zachodnia Afryka, Samoa, Nowa Gwinea, wyspy Oceanii) oddano mocarstwom w zarząd bez żadnych ograniczeń, tak że stanowią one faktycznie integralną część ich imperiów.

Statut Ligi Narodów zabezpieczał również tubylcom wolność sumienia i religii z zastrzeżeniem, ograniczeń wymaganych przez wzgląd na porządek publiczny i moralność. Ponawia on zakaz nadużywania handlu narkotykami, zabrania importu broni palnej i handlu niewolnikami. Na mandaty „B” i „C” rozciągnięto poza tym postanowienia traktatu w sprawie Konga, zapewniające wolność żeglugi morskiej i handlu międzynarodowego.

Dalszą próbą unormowania prawnego stosunków w koloniach stanowi konwencja o niestosowaniu pracy przymusowej. Na mocy tej konwencji, do której przystąpiła większość państw kolonialnych, zobowiązano się znieść wszelki przymus pracy. Mogł on odtąd być stosowany tylko doraźnie w wypadkach nagłych i wyjątkowych, gdy nie można uzyskać pracy dobrowolnej i pod warunkiem, że praca przymusowa w nieznanym stopniu obciąża lud kolonialny i będzie stosowana wyłącznie dla jego dobra. Większość państw kolonialnych zgodziła się również na postanowienia Międzynarodowego Biura Pracy, w szczególności na te, które zabraniają bezwarunkowo zmuszania do pracy na rzecz prywatnych instytucji i osób.

## GŁÓWNE SYSTEMY KOLONIALNE

Jako system kolonialny określamy zasady i wytyczne, jakimi kieruje się polityka mocarstw w stosunku do ludności tubylczej. Istnieją dwa takie zasadnicze systemy: brytyjski i francuski.

Brytyjska polityka kolonialna opiera się na zasadzie specjalnego uprzywilejowania Anglików w koloniach. U jej podstaw leży pogląd, że istnieje zasadnicza różnica między narodem angielskim a wszystkimi ludami kolonialnymi bez względu na kolor. Teoria narodu panów? Prawie. Ale na myśli mają Anglicy nie rasę w sensie biologicznym, ale naród w sensie cywilizacyjnym. Eric A. Walker, profesor historii imperialnej i morskiej w uniwersytecie w Cambridge, formułuje to stanowisko w sposób następujący: „Wolności obywatelskie Anglików są przywilejami urodzenia (birth right). Wolności te są wynikiem praworządności i rządów parlamentarnych. Anglicy mogą te przywileje przyznać lub odmówić nieanglikom, zależnie od ich zasług i wartości.”

Wszystkie wytyczne angielskiego systemu kolonialnego wynikają z tej naczelnej zasady. Kluczowe stanowiska w administracji kolonialnej obsadzane są tylko przez Anglików. Uposażenie Anglików jest wyższe niż tubylców, nawet na stanowiskach równorzędnych. Polityka kolonialna angielska nie uznaje asymilacji. Kolonia nawet najbardziej emancypowana, jak dominium nie stanowi części Anglii, ale jest państwem lub terytorium odrębnym, związanym z krajem macierzystym gospodarczo, a przeważnie i militarnie. Obywatel kolonii, czy Dominium nie jest ipso facto obywatelem Anglii. Polityka kolonialna angielska opiera się na samorządzie. Samorząd ten w różnych koloniach ma zakres bardzo różny. Na niektórych terytoriach jest on tylko organem doradczym, na innych posiada on szerokie kompetencje ustawodawcze. Żadna kolonia nie ma reprezentacji w parlamen-

cie angielskim, który na skutek tego od roku 1773 nie nakłada podatków na ludność kolonii. Sposób powoływania ciał doradczych i ustawodawczych w koloniach brytyjskich jest bardzo skomplikowany i różnorodny. W jednych — członkowie tych ciał pochodzą z nominacji, w innych — z wyborów, jeszcze w innych — częściowo z wyborów, częściowo z nominacji. System wyborów również jest bardzo różnorodny.

Francuski system kolonialny opiera się na Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, uznającej przyrodzoną równość wszystkich ludzi. Stosownie do tego Francja przyznaje w zasadzie ludziom kolorowym te same prawa, co białym. Według intencji francuskiej polityki kolonialnej wszyscy mieszkańcy kolonii powinni stać się jak najprędzej Francuzami z kultury i obywatelami Francji. Wszystkie terytoria kolonialne uważane są za zamorskie części Francji. Dlatego też kolonie wysyłają przedstawicieli do parlamentu francuskiego. Ludność kolonii podlega rekrutacji wojskowej. Urzędnicy w koloniach pochodzenia tubylczego otrzymują uposażenie takie same jak Francuzi. Konsekwentnie asymilacyjną politykę uprawia jednakże Francja tylko w Algierze, Tunisie i w koloniach, które posiada oddawna. W koloniach, które Francja uzyskała w drugiej połowie 19-go wieku (w Afryce centralnej, na Madagaskarze) uprawia ona politykę *asocjacji* jak to określa francuski termin prawny. Polityka *asocjacji* zmierza do zasymilowania tylko cienkiej warstwy ludności tubylczej. W rezultacie więc ta polityka doprowadza do podziału na nieasymilowaną masę i na sfrancuziałą elitę, która stanowi ostoję rządów w koloniach. Polityka *asocjacji*, jak widzimy, jest bardzo daleka od praw człowieka i obywatela, a bliźniaczo podobna do starożytności polityki „*divide et impera*”. Wyjąłkując masę tubylczą z elementów, które umieją myśleć i uczyć się, odbiera jej tym samym możliwość rozwoju kulturalnego i stopniowego przekształcania się w społeczeństwo o wyższej formie organizacyjnej. Francuski system kolonialny jest centralistyczny i w zasadzie nie uznaje samorządu. Parlament francuski uchwała ustawy obowiązujące ludność kolonii i nakłada na nią podatki i ciężary. W niektórych koloniach francuskich istnieją wprowadzone pewnego rodzaju organy samorządowe, ale zakres ich uprawnień jest bardzo ograniczony.

Wszystkie inne państwa mające kolonie wzonują się na jednym z tych dwóch systemów kolonialnych. Belgia, Hiszpania, Portugalia kierują się wytycznymi zbliżonymi do systemu francuskiego. Holandia ma system kolonialny podobny do brytyjskiego. Należy jeszcze zaznaczyć, że Stany Zjednoczone i Holandia nie uznają w zasadzie instytucji kolonii. Stanowisko tych państw łączy się z historią ich powstania. Holandia uzyskała wolność w walce o niepodległość z kolonialnym imperium hiszpańskim; historyczne Niderlandy stanowiły jakby europejską kolonię tego mocarstwa. Stany Zjednoczone zaś pomnę są swej przeszłości kolonialnej i swej wojny o niepodległość z macierzystą Anglią.

## TRUSTY W KOLONIACH.

Szeroki ogół tak mało dotąd wie o roli trustów w koloniach, a ich działalność jest tak niesamowita, że wydaje się rzeczą stosowną udzielić w tej sprawie głosu wybitnemu znawcy tych spraw, który ani z racji swego pochodzenia, ani z racji swego stanowiska nie może być posądzony o uprzedzenia i koloryzowanie. Oto co pisze prof. Eric A. Walker na str. 142 wyżej cytowanej książki:

„Słabe i bezbronne społeczeństwa mogą być w najbliższej przyszłości zagrożone raczej przez zdobywczych obywateli państw silniejszych, aniżeli przez rozbójnicze rządy takich państw. Kiedyś na morzu było tak, że ilekroć zabrakło sił morskich odrazu ukazywali się niosący śmierć piraci... Teraz dzieje się podobnie... Dobrze wyekwipowane jednostki, albo grupy dopuszczają się bez skrępowanych ohydnych bezczesztw...”

„Poważne, rozsądne i ustabilizowane społeczeństwa powinny móc trzymać w korbach takich najeźdźców, ale nawet wielkie mocarstwa (z wyjątkiem ZSRR, gdzie tego problemu nie ma), nie mogą sobie dać rady z wielkimi półmonopolistycznymi koncernami i kartelami. Te zjednoczenia służą pozytywnym celom, ale cóż z pożytku, który one przynoszą społeczeństwu, skoro ich nieodpowiedzialna potęga grozi tylu niebezpieczeństwami. Jest

to szczególnie prawdziwe w odniesieniu do kolonii, gdzie siły, które mogłyby zwalczać te zjednoczenia, są słabe. Amerykański koncern United Fruit Company\*) sięga swymi mackami aż do stoków Pacyfiku i daleko w głąb południowej Ameryki: żadna władza państwowa na wyspach morza Karaibskiego nie może go kontrolować. Brytyjski koncern United Africa Company, którego sfera działania rozciąga się od Londynu do Konga, posiada tak dużą i tego rodzaju władzę w Afryce zachodniej, że najzupełniej nie harmonizuje ona z demokracją rządzącą się na tych obszarach”.

„Rząd Liberii, niedoświadczony, zawsze w potrzebie i nie bez ambicji, popadł w całkowitą zależność dłużniczą od Firestone Tyre Company. Musiał on temu koncernowi udzielić koncesji, która — wykonywana w pełni — odbierze rzeczywistej murzynskiej najlepszą ziemię i pozabawi jej większość rąk roboczych”...

„Niebezpieczeństwa grożące ze strony wielkich koncernów pochodzą stąd, że koncerny te nie mogą *à la longue* sprzeniewierzać się swym celom, jakkolwiek ich dyrektorzy mogą być ludźmi godnymi podziwu. Cele te określił kiedyś pełnomocnik jednego słynnego koncernu jako „pogoń za zyskiem”. Bez zysku nie mogą one istnieć i w pogoni za nim ulegają one pokusie takiego postępowania, na jakie zdobywali się średniowieczni baronowie, którzy kontrolowali króla i opanowywali lud w kraju. Baronowie ci znalazli się na wschód od Adriatyku dopuszczali się czynów, które wywoływały zgorzniecie papieży. Nie jest to bynajmniej tylko pusta analogia. Nie mając nad sobą kontroli, koncerny zdolne są do niesamowitych czynów na obszarach położonych poniżej równika i na wschód od Suez. Nic to, że na ich tarczach widnieje godło: „Służba publiczna”, nic to, że ozdabiają swoje lance hasłem: „Postęp”! Po zwycięstwie pod Plassey kompania Wschodnio-Indyjska sprawowała zupełnie nieodpowiedzialnie władzę w Bengalu; jest to czarny rozdział w wielowiekowej historii kolonialnej Wielkiej Brytanii... Później — działalność koncesjonariuszy w „Wolnym Kongu” i we Francuskim Kongu „była skandaliczna...”

Zaznaczywszy, że po wzmoczeniu się kontroli parlamentu i opinii publicznej stosunki w koloniach brytyjskich poprawiły się, autor dalej pisze: „Tymczasem po wojnie 1914 — 1918 big business, który jedną nogą stoi w Westminsterze a drugą w City, wysunął propozycję, że nie tylko chętnie spłaciłby wojenne państwa, ale także podwyższyłby robotnikom płacę, a nawet zapewnił im sześciogodzinnny dzień pracy; wszystko to za drobnostkę, mianowicie za koncesje na eksploatację Afryki tropikalnej. W owym czasie ta kampania się nie udała. Dzisiaj znowu pojawiają się znaki po obu stronach północnego Atlantyku, które wskazują na to, że podobna próba zostanie ponowiona”.

\*) Powstała ta Kompania w r. 1899 dla wytworzenia, handlu i transportu produktów tropikalnych, w szczególności bananów, cukru trzcinowego, kakao i orzechów kokosowych. Centrala w Stanach Zjednoczonych posiada własną flotę złożoną z 62 statków. W Bostonie należy do Kompanii wielkie rafinerie cukru Revere Sugar Refinery, Filia w Kanadzie wstępuje pod nazwą Fruit Despatch Company. Centrala europejska, z siedzibą w Anglii, jest Elders and Piffes Ltd, która miała przed wojną własną oddzielną flotę złożoną z 34 okrętów.

Kompania posiada: 1600 mil dróg żelaznych, 671 mil tramwajów, 300 mil linii telegraficznych i telefonicznych. Obszar własnej ziemi uprawnej wynosi 1.900.000 akrów, ponad to dzierżawi ona 152.000 akrów.

Ma ona własne towarzystwo okrętowe, które utrzymuje regularną komunikację towarową, pocztową i pasażerską między portami Stanów Zjednoczonych, Europy, Kuby, Jamajki, Owatemeali, Panamy, Kolumbii, Kostaryki i Honduras. Kompania posiada własne potężne stacje radiowe.

W r. 1927 Kompania wypłaciła tubylcom 24 miliony dolarów za robociznę na jej plantacjach. Za taką samą sumę zakupiła ona w tym roku owoców od prywatnych plantatorów.

W r. 1928 Kompania zatrudniała 70.000 funkcjonariuszy. Kapitał zakładowy wynosił w tym roku przeszło 181 milionów dolarów, ilość akcji 2 i pół miliona, ilość akcjonariuszy — 26.000.

Oto jaka potęga kryje się pod skromną nazwą „Zjednoczonych Owocarzy”. (Dane zaczerpnięte z The Encyclopaedia Britannica, wyd. 14).

\*) Uwagi na marginesie książki: Colonies by Eric A. Walker, Professor of Imperial and Naval History in the University of Cambridge, Cambridge, 1945.

### WYCZYNY KONCERNÓW W KOLONIACH.

Tak oto zarysowują się wyraźne fundamenty i mechanizmy gospodarki kapitalistycznej w społecznej aurze kolonii. W krajach macierzystych działalność monopolistycznych koncernów jest w istocie swęta sama; jest ona tu tylko bardziej skomplikowana i celowo maskowana. Jawność działania mogłaby łatwo w tych krajach zmobilizować wrogię dla koncernów siłę społeczną, otworzyć oczy szaremu człowiekowi i wywołać niepożądaną reakcję opinii.

W koloniach ujawnia się również dobitnie funkcja ekonomiczna, tzw. nadwartości. Tylko z powodu bardziej skomplikowanych i mniej przejrzystych stosunków, istniejących w gospodarce kapitalistycznej krajów europejskich i amerykańskich, słuszność teorii nadwartości mogła zostać zakwestionowana przez poważnych nawet ekonomistów. Gospodarka monopolistycznych koncernów w koloniach stanowi nie jako eksperyment potwierdzający zgodność tej teorii z rzeczywistością.

Do eksploatacji ogromnych nieraz bogactw naturalnych w koloniach trzeba rąk roboczych — na plantacjach, kopalniach, przy budowie dróg i linii kolejowych, regulowaniu rzek itp. Rąk tych w koloniach oczywiście nie brak. Cała rzecz sprowadza się do tego, aby one były tanie. Wielkość osiągniętych zysków jest wprost proporcjonalna do taności robocizny. Pogoń za zyskiem stanowiąca, jak to powiedział wyżej profesor Walker, jedyny motor działania koncesji, przeobraża się w koloniach w systematyczny przymus. Praca przymusowa występuje pod różnymi postaciami, zależnie od okoliczności i możliwości. Tubyłcy bowiem nie bardzo się śpieszą do robót potrzebnych koncesjonariuszom. Często rodzaj wymaganey pracy jest dla nich zupełną nowością. Dystans kulturalny między prymitywnymi narzędziami i sposobami pracy ludów o organizacji plemiennej, a techniką i metodą wytwarzania społeczeństw o ustroju kapitalistycznym — jest rzeczywistością ogromną. Ten dystans cywilizacyjny powoduje u tubyłców niezrozumienie i lek, które zazwyczaj towarzyszą wszystkiemu, co nieznanne i niezrozumiałe. Jest to prawdopodobnie ważny, choć zapewne nie główny powód „lenistwa”, o które europejczy oskarżają tubyłców. Główny powód niechęci tubyłców do pracy jest inny: mimo swego prymitywizmu społecznego i ogólnie cywilizacyjnego — zdają oni sobie sprawę z tego, że kto inny będzie zbierał plony ich pracy...

Trzeba więc stosować przymus pracy. Przymus ten często bywa zupełnie jawny i brutalny tak, że faktycznie nie różni się od niewolnictwa. W innych wypadkach narzuca się kontrakty pracy, które przewidują ciężkie sankcje karne za niewłaściwe wykonanie pracy. Prawie we wszystkich koloniach zmusza się do pracy na rzecz koncesjonariuszy pod pretekstem robót publicznych. W tym rodzaju przymusu pracy wyspecjalizowali się Francuzi, którzy go określają eufemistycznie jako „prestations” (świadczenia). Trzeba jednak przy tym zaznaczyć, że tubyłcy do brzo odróżniają roboty o charakterze publicznym, wykonane dla dobra ich własnej społeczności, od prac pozornie publicznych, z których ciągną zyski koncesje. I na każdy z tych obu rodzajów prac przymusowych tubyłcy reagują odpowiednio odmienne. Gdziekolwiek znowu koncesjonariusze stosują bardziej subtelne metody przymusu: za pośrednictwem przekupionych kacyków plemiennych „zachęcają” tubyłców do pracy. Nie trudno sobie wyobrazić jak takie „zachęty” wyglądają w prymitywnych stosunkach społecznych. Pomysłowi Francuzi wynaleźli jeszcze jeden rodzaj przymusu do pracy, który pięknie nazywają „travail éducatif”; celem pracy wychowawczej ma być nauczanie tubyłców nowych metod plantacji. Takie oto są metody bezpośredniego przymusu do pracy.

Obok nich istnieje cała skala metod pośredniego zmuszania tubyłców do pracy. Przymus pośredni jest najbardziej rozpowszechniony i najczęściej stosowany. Najpospolitszą jego formą jest system paszportów i kart tożsamości wprowadzanych dla tubyłców. Paszport lub karta tożsamości przykuwa tubyłca do ziemi pod pretekstem walki z włośczęgostwem. Skomplikowane przepisy paszportowe stanowią prawdziwą sieć wilczych dołów, a każde przekroczenie przepisów grozi karą w postaci roboty przymusowej. Koncerny zdobywają koncesje na eksploatację lasów: tubyłcy nie mają wówczas innego wyboru, niż zbieranie produktów rosnących dziko w lesie; warunki oczywiście narzucają koncesjonariusze. Brutalne wywłaszczanie tubyłców z ziemi bywa również aplikowane jako bodziec do pracy.

Ziemię wywłaszczoną wydzierzawia się na warunkach przyznających koncesjonariuszom 70 do 90 proc. zbiorów. Udziela się tubyłcom pożyczek lichwiarskich, licząc rocznie 400 proc. od sta. Celem zachęcenia tubyłców do pracy władze kolonialne nakładają na nich różnorodne niewspółmiernie wysokie podatki: pogłówny, podymny, nawet całkiem nowoczesny... podatek dochodowy. Za niezapłacenie podatków grożą ciężkie kary. W Kenii np. ciężary są tak duże, że tubyłcy muszą pracować 4 miesiące w roku na samo opłacenie podatków. Wprowadza się również podatki pośrednie, konsumcyjne na artykuły nabywane przez tubyłców. Najszybszą i najłatwiejszą zachętą do pracy stanowi system premiowania, szczególnie kobiet — świecidełkami i tandetą, prymitywną kosmetyką. Temu samemu celowi służy również alkohol.

### KOLONIE A IMPERIALIZM.

W roku 1852 Disraeli określił kolonie jako kamienie młyńskie na szyi Anglików. Tak mówił Disraeli jako mąż stanu, oświadczenie bowiem i jako powieściopisarz był on, że tak powiemy, romantycznym imperializmem. W połowie minionego stulecia Anglia ciągle jeszcze posiadała faktyczny monopol na bardzo ważne wyroby przemysłowe, była ona wtedy jedyną bezkonkurencyjną fabryką świata. W tych warunkach kolonie rzeczywiste były przedsięwzięciem kosztownym, bo deficytowym. W drugiej połowie wieku 19-go zaczęły pojawiać się groźni konkurenci, którzy nie tylko nie wpuszczali wyrobów angielskich do swych krajów, ale nawet zasyppali własnymi tanimi towarami Wielką Brytanię. W końcu 19-go wieku Anglia straciła swoje monopolistyczne stanowisko. Bariery celne coraz bardziej ograniczały wymianę międzynarodową, której obroty z roku na rok coraz bardziej się kurczyły. Jednocześnie wzrastała coraz bardziej koncentracja przemysłu i kapitału finansowego. Wzrastała wytwórczość i wmagala się coraz bardziej wydolność aparatu wytwórczego.

Posiadanie i zdobywanie coraz nowych kolonii stało się kwestią żywotną. W roku 1895 opowiadał Cecil Rhodes swemu przyjacielowi, dziennikarzowi Stead: „Zwiedziłem wczoraj londyńską dzielnicę robotniczą East-End i byłem na zebraniu bezrobotnych. Kiedy nasłuchiłem się tam żelkich mów, które były jednym krzykiem: chleba! chleba! to wracając do domu i rozmyślając o tym, co widziałem, przekonałem się bardziej niż kiedykolwiek o doniosłości imperializmu... Moim marzeniem jest rozwiązanie kwestii społecznej, a mianowicie tak: żeby uratować 40 milionów ludności Zjednoczonego Królestwa od zuboższej wojny domowej, my politycy kolonialni, musimy zdobyć nowe ziemie, aby na nich umieścić nadmiar ludności, musimy uzyskać nowe rynki zbytu dla towarów produkowanych w naszych fabrykach i wydobytych w naszych kopalniach. Imperium, mówięm to zawsze, to kwestia żołądka. Jeżeli nie chcecie wojny domowej, musicie stać się imperialistami”. Zaiste, ładną metamorfozę przeszły kolonie w ciągu jednego półwiecza! Z kamieni młyńskich u szyi — przeobraziły się w ostatnią deskę ratunku. Wnikając nieco głębiej, łatwo tę metamorfozę zrozumieć. Czymże bowiem są ostatecznie kolonie? Monopolem na eksploatację surowców, monopolem na inwestycje kapitału, monopolem na eksport i import. Monopolizm w koloniach uzupełnia doskonale monopolizm w krajach macierzystych. Kapitalizm monopolistyczny i imperializm kolonialny są to bracia siamscy, z których jeden bez drugiego żyć nie może. Dlatego zdumne są nadzieje profesora Walkera, że wpływ opinii publicznej i zwiększona kontrola parlamentu poprawią nieludzkie stosunki panujące w koloniach. Wszystkie próby w tym kierunku tak długo pozostaną bezskutecznymi i niedoleżnymi palliatywami, jak długo kartele i trusty będą decydującym czynnikiem w życiu gospodarczym państw zachodnich. Znaczenie opinii publicznej w tych sprawach należy omówić oddzielnie.

### OPINIA PUBLICZNA.

Zdawałoby się, że sumienie współczesnego Europejczyka powinno się burzyć przeciwko tym bezceństwu kolonialnym. Zdawałoby się, że jest to jedna z nielicznych spraw, na którą zgodnie powinni reagować i wierzący purytani, którzy nigdy z Pismem Świętym się nie rozstają i agnostyk Francuz, który głosi urbi et orbi równość wszystkich ludzi bez względu na rasę w myśl Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Ale jakoś o koloniach bardzo mało się mówi na zachodzie, w każdym razie o wiele mniej, niż należałoby. Niewątpliwie, kolonie leżą daleko, nawet w wieku samolotów. Nieliczni są

stosunkowo ci Europejczycy, którzy znają z autopsji stosunki tamtejsze, a ci, którym najbardziej na tym zależy, czynią wszystko, aby do publicznej debaty w tych sprawach nie dopuścić. Wszystko to jednak tłumaczy tylko częściowo obojętność opinii publicznej.

Trzeba powiedzieć otwarcie, że zachodzi tu objaw niebezpiecznego przytępienia moralnego, który niestety, ma znacznie głębsze przyczyny. Jeszcze w r. 1858 Engels pisał do Marksa: „Proletariat angielski faktycznie coraz bardziej przekształca się w swóistą burżuazję. Angielski naród, najbardziej burżuazyjny ze wszystkich narodów, dojdzie w końcu do tego, że będzie miał obok burżuazji i burżuazyjnej arystokracji, także burżuazyjny proletariat. Ze strony narodu, który wyzyskuje cały świat, jest to do pewnego stopnia rzecz normalną”. A prawie ćwierć wieku później, w r. 1881 mówił on o „najgorszych angielskich tradycjach - unionach, które zezwalają na to, aby kierowali nimi ludzie kupowani przez burżuazję, albo przynajmniej przez nią opłacani”. W rok później pisał Engels do Kautsky'ego: „Zapytujecie, co angielscy robotnicy myślą o polityce kolonialnej? Zupełnie to samo, co myślą o polityce w ogóle. Nie ma tutaj partii robotniczej, są tylko konserwatyści i liberalni radykalowie. Robotnicy najspokojniej w świecie korzystają z nimi z kolonialnego monopolu Anglii...”. Oczywiście Engels ma tu na myśli górną warstwę proletariatu, tę, która dostarcza najbardziej aktywnych członków kooperatywowi, związkowi zawodowemu, towarzystwom sportowym i sektom religijnym. Anno 1946 istnieje już w Anglii odrębna partia robotnicza. Co więcej, partia ta posiada dziś bezwzględnie większość w parlamencie i niepodzielnie sprawuje rząd. Jego Królewskiej Mości. Ale polityka kolonialna rządu Labour Party nie tylko dotrzymuje kroku konserwatywnym imperialistom, ale czasami robi wrażenie, że ich nawet dystansuje. Corruptio optimi pessima...

Krótko mówiąc, duża część ludności zachodnio - europejskiej stała się rentierską. Zwalila ona ciężką pracę fizyczną, rolniczą, i górniczą, a gdzie niegdzie i przemysłową na barki kolorowej ludzkości. Z pracy tej bezpośrednio ciągną zyski notoryczni rentierzy, a pośrednio — duża część drobniomieszczanstwa, inteligencji a nawet proletariatu... A wiadomo, że gdzie interes osobisty mówi głośno, tam sumienie odzywa się ledwie dosydzalnym szepcieniem. Szepci ten uspakaja, angielski purytanin myśla o zbożnej działalności charytatywnej misjonarzy, którzy kolorowych braci uczył Słowa Bożego, edukują moralnie, a nawet leczą w szpitalach. Francuzi zaś z Ligi Praw Człowieka i Obywatela ze snobistycznym zadowoleniem oglądają kolorowych parlamentarzystów i inteligentów, a zwłaszcza strojnych strzelców senegalskich, defilujących 14 juillet pod Łukiem Triumfalnym. Widzą oni w nich ucielesnione dowody wierności zasadom egalité i fraternité.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że ludy kolonialne stoją na bardzo niskim poziomie kultury. Historia uczy, że kultury niższe rzadko kiedy o własnych siłach podciągają się do poziomu kultur wyższych, z którymi sąsiadują. W dawnych czasach oddziaływanie kultur wyższych na niższe było żywiołowe i przeważnie bezwiedne. W wieku 19-tym zrodziła się myśl świadomego i planowego działania również w tej dziedzinie. Myśl o misji cywilizacyjnej narodów europejskich sformułowali niemal równocześnie Anglik Sir Thomas Munro (1824) i Amerykanin John Marshall (1831). Myśl tę określili obaj jako conception of trusteeship (jako koncepcję powiernictwa). Określenie to jest być może niefortunne, ale obowiązek misji cywilizacyjnej ludów europejskich jest niewątpliwie. Ale coż może być bardziej bezsensownego i haniebnego, niż powierzanie misji cywilizacyjnej i opieki moralnej oligarchicznym kompaniom myślącym i działającym po gangstersku?

### SPRAWA KOLONII PRZESTAŁA BYĆ EGZOTYKA.

Przebieg drugiej wojny światowej był jakby dziełem Nemezis historii. Przez 5 lat okupacji niemieckiej ludność w dużej części Europy miała doświadczyć na sobie dobrodziejstw systemu kolonialnego. Także dumny i zarozumiwały Albion był o krok od tego wielce pouczającego doświadczenia historycznego. Niemcy zamieniły w kolonię trzy państwa europejskie posiadające — po Anglii — największe obszary kolonialne na świecie. Nie jest to li tylko analogia. Trzecia Rzesza nie mogąc z powodu braku dość silnej floty sięgnąć po kolonie zamorskie, postanowiła zamienić Europę całą w swą kolonię. W „Mein Kampf”, w tym nieświętym piśmie faszystów, wszystko to zostało ułożone, „uzasadnione” i przewidziane, zwłaszcza, jeżeli chodzi o Europę słowiańską. Praktyka zdystansowała doktrynę. Kolonizowanie Europy nie było zresztą, jak wiadomo, nowością w historii Niemiec. Zdobyły one doświadczenie w tej dziedzinie także całkiem nowoczesne podczas krótkiego, co prawda, wladania koloniami zamorskimi. Ale najwięcej nauczyły się od... Anglików i Francuzów. I trzeba przyznać — prześcignęli swoich mistrzów.

Rządy okupacyjne Trzeciej Rzeszy w Europie, były po prostu systemem kolonialnym made in Germany. Oryginalność co prawda w tym dużo nie było. Słusznie zawsze żalili się Francuzi, że Niemcy im kładną pomysły... Od Anglików przejęli hitlerowcy zasadę dzielenia ludzi na panów i tubyłców. Goebbels niejednokrotnie przypominał Anglikom, że to oni właśnie tłumiąc powstanie Boerów wymyślili obozy koncentracyjne. Zaprowadzili we wszystkich krajach okupowanych różnicowany system przymusu pracy. Było więc polowanie na niewolników, jak za dawnych dobrych czasów w Afryce, gdy handel murzynami był w pełnym rozkwicie. S.S. stosowało w obozach pracy sławetny „travail éducatif”. Były „świadczenia” w postaci przymusowych robót publicznych: np. hitlerowski Baudienst był germańskim odpowiednikiem francuskich kolonialnych prestations. Była eksploatacja i gospodarka rabunkowa, mogącą śmiało się równać z działalnością koncernów w koloniach.

Ten niemiecki system kolonialny w Europie, który łagodnie nazywamy okupacją, nie miał być przejściowy, nie był pomysłem jako konieczność wojenna. Podług zamiarów niemieckich podbiła w Europie kraje miały stać się rynkiem zbytu, źródłem surowców i rezerwuarem ludzi dla „wielkiej Rzeszy”. Hitlerowcy nie ukrywali swych zamiarów przetrzeźwienia wszystkich ciężkich robót fizycznych na ujarzmione ludy. „I w tym wypadku mogli się powołać i rzeczywiste się powoływali na precedens z ludami kolorowymi. Tak dalece kroczyli śladami imperialistów kolonialnych zachodnio europejskich, że nawet o kacyków się postarali, którzy z kazielnic i studio radiowych „zachęcali” do pracy i lojalności. Ba, nie zbrakło nawet, że tak powiemy, białych senegalczyków. A wszystko to było robione w przeświadczeniu o specjalnej misji cywilizacyjnej wobec zdegenerowanej Europy.

Taka oto była lekcja poglądowa dziejów dla mocarstw kolonialnych, „albowiem, jakim sądem sądzić, takim sądzieńi będziecie i jaką miarą mierzyćcie, taką wam odmierzone będzie”. Czy narody zachodnio - europejskie wysnują odpowiednią naukę z tych doświadczeń? Profesor Walker nie bardzo, zdaje się, w to wierzy. Tak bowiem chyba rozumie należy motto w jakie zaopatrzył on swoją książkę. Jest ono tak charakterystyczne i tak prawdziwie angielskie, że nie możemy sobie odmówić zacytowania go na zakończenie naszych rozważań:

„My Lord, I am sorry that in place of things, we amuse ourselves with words”.\*)

Stanisław A. Majewski

\*) Boże mój, bardzo mi przykro, że zamiast czynów zabawiamy się słowami.

Wobec ogromnego napływu zgłoszeń w ostatnich dniach maja

**SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA”**

w porozumieniu z firmą Gebethner i Wolff

**przedłużyła subskrypcję**

Prus — Lalka . . . . . 3 tomy 250.— zł.  
Prus — Faraon . . . . . 3 tomy 250.— zł.  
Reymont — Chłopi . . . . . 4 tomy 340.— zł.  
Balzac — Stracone Żłudzenia 5 t. 560.— zł.

**do dnia 30 czerwca 1946 r.**

Blizszych informacji udzielają i zgłoszenia przyjmują wszystkie księgarnie.

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

# Czy w Polsce szanuje się człowieka?

Dla każdego kto obserwuje dążenia ideowe współczesnych nie ulega wątpliwości, że idea obrony praw człowieka jest bodaj jedyną, której wartość uznają wszyscy, bez zastrzeżeń. Więcej nawet — ta idea posiadając niejako wartość bezwzględną — decyduje o wyborze każdego szerszego kręgu idei, decyduje o wyborze całych poglądów na świat uzyskujących od niej swą wartość względną, jeśli poszukiwacz poglądu na świat gotów jest przyznać, że dany zespół idei opiera się na zasadzie szacunku dla człowieka. Praktyka bowiem wojny i okupacji nauczyła nas cenić właśnie to stanowisko.

## DWA TYPY HUMANITARYZMU

Lecz istnieją dwa typy humanitaryzmu: jeden nieludzki — a drugi człowieczy. Pierwszy zakłada, że wszyscy ludzie są jakby obdarzeni „laską świętości”. I dla tak pojętego człowieka spisuje szerokie prawa jednostki. Wymaga tylko jednego: uszanowania tych szerokiej praw. Eliminacji każdego przymusu. Oczywiście w praktyce człowiek taki neguje wszelkie działania, wszelki wysiłek zmierzający do naprawienia stosunków. Zabrania bowiem walki ze złem — zakłada, że „święci” dobrowolnie, bez przymusu nie będą źle czynili. Jest to humanitaryzm niewierzący w możliwość poprawy świata. Humanitaryzm pesymizmu, rezygnacji. Żąda rzeczy niemożliwych, nie uzyskuje niczego. To humanitaryzm hinduskich jogów — głoszących, że wszelki czyn jest złem i lepiej jest zawsze powstrzymać się od działania. Humanitaryzm taki to ideologia szczególnie zacofanych i skostniałych ustrojów i społeczeństw, dla których pogarda czynu, jest unicestwieniem reform, utrwaleniem istniejących form zła i przemocy. Tak jak właśnie jest w przeżytych feudalnym ustroju kastowym Indyj.

Lecz jest i drugi humanitaryzm. Ten, który pojmuje człowieka zgodnie z historyczną rzeczywistością. Humanitaryzm, który za najważniejsze prawo jednostki uważa jej udział w budowaniu lepszego świata. Ten bowiem, kto nie chce wprowadzać w życie reform z takimi ludźmi jacy są, kto zwleka z naprawą świata do czasu aż ludzie się uświęcą — ten w istocie nie chce tych reform, nie wierzy w nie, pogardza ludźmi i ich przyszłością. Są mu wstrętni i teraz i kiedykolwiek później.

Lecz może się komuś wydać to przeciwstawienie dobohem karykaturalnych krańcowych przykładów. Tak, powyższe sformułowanie jest dość kracie dla wyrazistości wykładu. Lecz — jeśli w praktyce spotykamy mniej typowe objawy — tym niemniej humanitaryzm określa się naprawdę według tych dwu zasad. I najmniej jaskrawo przejawiający się humanitaryzm nieludzki — będzie właśnie w praktyce tylko przeciwieństwem prawdziwego humanitaryzmu, będzie zawsze zaprzeczeniem idei szacunku dla człowieka, będzie wyrazem pogardy dla niego, będzie szkodliwy. Praktycznie szkodliwy.

Bo humanitaryzm nieludzki nie dba o to, czy zasadą działania *we wszystkich dziedzinach* danego życia zbiorowego jest szacunek dla człowieka. A jedynie wyodrębni pewien zespół czynności, w których ma się ten szacunek wyrażać i lekceważąc sobie rzeczywistość na wszystko inne zamyka oczy.

Wiemy dobrze z lat międzywojennych, że np. inna organizacja cenzury niż dzisiaj nie ustrzegła nas od rzeczywistych aktów pogardy wobec człowieka. Tą pogardą nacechowane było całe życie gospodarcze, rządzone nieludzką zasadą zysku kapitalisty, nie liczące się z potrzebami ludzkimi. Życie gospodarcze, które przynosiło jednocześnie głód, kryzysy, bezrobocie, niepewność jutra i topienie w morzu „nadmiarów” zboża i palenie w lokomotywach „nadmiarów” kawy, podczas gdy człowiek chodził głodny i spragniony. Lecz dziś humanitaryści nieludcy — nie wierzą w możliwość zbudowania życia gospodarczego tak, by kierowało się ono szacunkiem dla człowieka, jego potrzebami. Nie wierzą, że dla tego celu warto ponieść wyrzeczenia. Piszą, że istotą szacunku dla człowieka jest właśnie zniesienie cenzury. Ustrój wyzysku może pozostać taki, jaki

był. A gdy się im mówi, że można zreformować i ustrój wyzysku, zmienić na lepszy, ale drogą walki — uśmiechają się pogardliwie. Gdy im się mówi, że dziś budując lepszy ustrój w świecie nie „świętych”, ale zwykłych ludzi, którzy bywają wrogami dobra, że w tych warunkach walki z przeciwnikami sprawiedliwości trzeba przejść odcienie ograniczeń, między innymi i cenzury — oburzają się pogardliwie.

## POGARDA CZŁOWIEKA

Bo humanitaryzm nieludzki nie dba o rzeczywistość. Jest utopijski — właśnie przez pogardę dla człowieka. Nie wierzy, aby człowiek kiedykolwiek osiągnął coś pięknego. Nie szanuje człowieka — lecz idee. Jest wrogiem świata, wrogiem ziemi, na której żyje człowiek — a wyznawcą idei, które nie są z tej ziemi. Dlatego mówi — niech ginie świat! Pereat mundus, fiat iustitia. Nie liczy się z tym, że rzeczywistość istnieje choćby jednego prawa jednostki wymaga oparcia w określonych środkach technicznych, instytucjach społecznych. A te trzeba w czasie stworzyć, stworzyć zgodnie z prawami działania, zgodnie z prawami przełamania oporów rzeczywistości. Oporna jest zarówno rzeczywistość naturalna — np. kamień, który obrabiamy narzędziami — jak i rzeczywistość społeczna — np. kodeks karny, który przystosowujemy do życia. I przełamując te opory trzeba zgodnie z prawami rządzącymi przemianami tych rzeczywistości, prawami które nie zależą od naszego sumienia i woli. Trzeba pokory — gdy walczymy o szacunek dla człowieka. Nie jesteśmy samowładnymi panami ani natury ani kultury. Zarówno rzeczy, które daje przyroda, jak i wytwory które tworzą kulturę, warunkują nasze działanie, narzucają nam swoje prawa, stawiają opór.

Gdy chcemy urzeczywistnić słuszny głos naszego sumienia, nakaz szacunku dla człowieka — musimy tworzyć w tym celu określone, obiektywne, poza nami istniejące układy. Nie da się, jak chcą humanitaryści nieludcy, szanować człowieka po prostu w kulturalnej próżni. To jest utopijski, pogardliwy ideał anarchii. Aby urzeczywistnić szacunek dla człowieka, trzeba zbudować określone państwo, określony ustrój. A chcieć go w ogóle budować — to znaczy chcieć go budować z takimi ludźmi jacy są. To państwo stanowi kulturalny zespół hamulców zła, głupoty, słabości i nadużycia. Jego organy i jego instytucje działają przeciw przy pomocy środków technicznych. Weźmy przykład: duże miasto polskie położone nieco ponad sto kilometrów od stolicy — ma z nią jedno połączenie kolejowe bezpośrednie, droga wtedy trwa 4 godziny, inne połączenia pośrednie trwają po kilkanaście godzin. Odbudowa naszych kolei posuwa się dobrze. Obcy podziwiali nasze wyniki. Lecz odbudowa techniczna dzieje się w czasie, w rytmie oporów, które stawiają warunki. Jakże więc teraz możemy sobie wyobrazić szybką i skuteczną walkę ze wszystkimi objawami słabości ludzkiej — jeżeli łączność między jakimkolwiek terenem, a kontrolującym ośrodkiem nie funkcjonuje normalnie. Możemy powiedzieć o ile procent odchyła się od normy sprawność techniczna — w takim samym stopniu wystąpią niedociągnięcia w sferze realizacji zasad w zakresie duchowych form i stylów życia. Faktycznym wrogiem przywrócenia tego koniecznego technicznego uzbrojenia jest ten, kto nie chce uznać jego koniecznych etapów.

Pełnia swobód jednostki jest osiągalna nie na początku tej pracy. Bo opory rzeczywistych warunków i rzeczywistych ludzi na to nie pozwalają. Ta pełnia osiągalna jest dopiero w wyniku.

Wierzymy, że da ją ustrój demokracji politycznej i gospodarczej. Ale demokracja to ustrój społeczny. Ustrój możliwy do urzeczywistnienia tylko w nowoczesnym społeczeństwie, nie w hordzie. Nowoczesne społeczeństwo charakteryzuje się przede wszystkim pewnym ściśle w danej epoce określonym minimum wyposażenia technicznego, cywilizacyjnego. Nowoczesne normalne społeczeństwo nie może istnieć bez normalnie funkcjonujących warsztatów produkcyjnych, łączności, transportu

na poziomie nowoczesnej techniki, bez której nie ma oczekiwanych skutków duchowych: nie osiąga się właściwego demokracji humanitarnej stylu życia.

## GEST POSZANOWANIA CZŁOWIEKA

Jesteśmy krajem, który konsekwentnie i do końca nie przeprowadził żadnej reformy. Ani tej związanej z reformacją w 16-tym w., ani tej związanej z rozkładem feudalizmu w 18-tym. Mściło się to na nas zacofaniem, słabością — wykorzystaną przez wrogów. Źródłem siły krajów zachodnio-europejskich były niewątpliwie ich rewolucyjne, konsekwentnie do końca przeprowadzone reformy. Rozmach kapitalistycznej Anglii — w dobie rozkwitu i postępowości kapitalistycznych form produkcji u schyłku 18-go i w pierwszej połowie 19-go w. — zrodził się z celowości i konsekwencji jej form. Przyniosło to potęgę kraju, fundament powodzeń w ciągu mieszczańskiego stulecia, fundament także i trwałych zdobyczy obywatelskich i kulturalnych, które nawet dezaktualizując się w toku historii, trwale się liczą dla przyszłości narodu, jako osiągnięty stopień postępu, umożliwiające łatwy krok jeszcze dalej naprzód. Nie stało się to bez trudności i ofiar. Rewolucja agrarna w Anglii w 18-tym w. była niesłychanie brutalna. Chłop został bezlitośnie usunięty ze swej ziemi. Ale scalone w ten sposób majątki stały się materialną podstawą dla wprowadzenia kapitalistycznych metod produkcji do rolnictwa. Bezrolni chłopci stali się armią proletariatu, których ręce uruchomiły kapitalistyczną produkcję fabryczną. A niewątpliwie ten typ gospodarki lepiej zaspakajał podstawowe potrzeby społeczeństwa angielskiego, aniżeli dotychczasowe feudalne sposoby wytwarzania. Czy procesy te mogły przebiegać inaczej, bardziej ludzko, sprawiedliwie, od razu zwycięsko dla pracujących mas? Nie będziemy się nad tym zastanawiali, bo nie to jest ważne dla naszego zagadnienia. Dla nas ważne, iż w świetle historycznej i moralnej oceny możemy słusznie potępić w tych przeobrażeniach gwałt, niesprawiedliwość, egoizm klasowy, ale z drugiej strony stanowczo musimy uznać pozytywną rolę konsekwencji — historycznego urzeczywistnienia, szybko, twórczo, z rozmachem i celowością przodującego wówczas porządku kapitalistycznego na ziemi angielskiej. Ograniczamy się do sprawy tych dwu ocen, bo interesuje nas porównanie z sytuacją polską, gdzie ze szkoda kraju tragiczną w konsekwencjach, bo przynoszącą wiekowe upośledzenie i opóźnienie — nie przeprowadzono ani wtedy — ani nigdy potem tak szybkiej konsekwentnej reformy. Przystawaliśmy sobie z konieczności historycznej kapitalistyczne formy produkcji — zawsze zdystansowani, zawsze w niesprzyjających warunkach, zawsze pchani przez obce siły, słując ich interesowi, nie własnemu, zawsze w niewoli prężniejszego, dojrzałego, a egoistycznego kapitału obcego czy to zaborcy — czy ekonomicznego zdobywcy, inwestującego kapitał na naszych ziemiach w celach rabunkowej eksploatacji. Ale czy, wyrzekając się korzyści konsekwentnych reform, zdolałiśmy chociaż uniknąć moralnej ohydy, która niezaprzeczenie cechuje walki klasowe dotychczasowej historii? Czy rzeczywiście kraj nasz był „Polską Chrystusową” naszych romantyków, krajem szacunku człowieka? Wiemy dobrze, że tak nie było. Prawda losu pańszczyźnianego chłopca w Polsce bez celowej i śmiałej kapitalistycznej rewolucji była jeszcze bardziej ohydna aniżeli krzywda chłopca angielskiego. Historyczna bezczynność, jałowość i bezradność naszych warstw panujących nie uszczęśliwiła ich. Przeciwnie, długie trwanie — przykrych jak wżerające się w ciało zbyt ciasne i ostre kajdany przeżytków przeszłości, tym bardziej dotkliwie odbijało się na codziennej doli warstw uciskanych. Zacofanie techniczne trwających bez zmian od wieków przeżytych form pracy — wynagradzały sobie warstwy panujące właśnie stale zwiększającymi ciężarami, rosnącym wyzyskiem, obciążeniem jedyną zawsze twórczej siły w tym kraju: pracującego człowieka. Nie byliśmy „Polską Chrystusową” — byliśmy krajem szlacheckiego zacofania i chłop

skiego ucisku. Tylko postęp techniczny, tylko konsekwentna reforma mogła zmniejszyć te ciężary krzywdy, mogła torować drogę poszanowaniu człowieka i sprawiedliwości, której nie osiągnie się bez postępu i to bez postępu technicznego, bez zdobyczy materialnych i społecznych ludu. Nie przypominałbym tych spraw przeszłości, gdyby nie ciążyły na nas do dziś. Gdyby te formy klasowe niedołęstwa i egoizmu nie odżywały stale w ideologiach wpływowej niestety części naszej inteligencji (ze środowiska daw. Narodowej Demokracji), jako maska współczesnego wstecznictwa. Wstecznictwa, które w ten sposób próbuje legitymować się tradycją narodową, próbuje dyskontować jako moralnie dobro narodowe ten faktyczny brak konsekwentnej woli reformy w naszej przeszłości. To upodabnianie naszego życia historycznego do stojącej sadzawki było źródłem największego zła społecznego w Polsce. Zubożało kraj, tamowało rozwój nowych sił, skazywało samodzielne ruchy chłopskie i robotnicze na jałowe przełamwanie tej zapory bezruchu, zamiast pozytywnej nowatorskiej twórczości. Każdy nowator w Polsce skazany był na wykonywanie zadań spóźnionych w stosunku do reszty świata. Usuwanie przeżytków pozostałych po niedokonanych rewolucjach zużywało większość zasobu energii społecznej twórczych klas narodu. Budowanie nowego porządku, doskonalenie tego co było społecznie żywe i zdolne do dalszego rozwoju środkami właściwymi naszym masom, zawsze musiało być na drugim planie.

Osią historii naszego dwudziestolecia międzywojennego była walka o reformę rolną — o wyzwolenie chłopca, była walka o reformę przemysłową — o złamanie przemocy kapitału monopolistycznego. W tej walce ścierały się najlepsze siły naszego narodu. Epizodem tej walki była sprawa Brzeska, była Bereza, były strajki rolne i rozpacziwa walka naszych robotników — twórców „polskiego strajku”. Takie pojmowanie historii naszej pierwszej niepodległości jest zgodne z faktami.

Dziejami bowiem rządzą rzeczywiste siły społeczne: klasy społeczne powiązane wielorakimi więzami wewnętrznymi — a między sobą zróżnicowane — przede wszystkim z racji odmiennej roli w procesach produkcji. Wyrazem ideologicznie dojrzałym dążeń tych klas — są programy ich przodujących grup, zorganizowanych partii politycznych. A wiemy, jak doniosła jest rola partii politycznych w dobie demokracji parlamentarnej, która pojawiła się wszędzie po r. 1918. Otóż w programach naszych partii chłopskich i robotniczych, wyrażających dążenia ruchu chłopca i robotniczego, reforma agrarna i przemysłowa, zajmuje centralne miejsce. Te partie głosiły potrzeby reformy stosunków agrarnych i przemysłowych. Ale różnie centralne miejsce zajmowały te problemy w programach ugrupowań prawicy, które broniły istniejącego stanu rzeczy. Polityczna ofensywa faszyzmu i próby niweczenia samodzielnego ruchu chłopca i robotniczego — to było tylko spotęgowanie obrony gospodarczego stanu posiadania uprzywilejowanych.

Pod znakiem tych centralnych spraw kształtowały się działania wymienionych partii i w dziedzinach czysto politycznych, administracyjno-samorządowych i kulturalnych. Przypomnę bezowocność tej walki, klęskę planu reformy rolnej przed 1939, przypomnę rosnące wpływy karteli w Polsce przedwrześniowej.

Toteż wysuwając na czoło naszych zadań reformę rolną i reformę przemysłową, spełniliśmy podstawowy postulat patriotyzmu. Uczyniliśmy najpełniejszy akt uszanowania człowieka w Polsce. A spełniliśmy rzecz nielatwą — jeśli przypomnieliby sobie jasno, jak bardzo nieosiągalną była przez całe międzywojenne dwudziestolecie. Jak przy jej realizacji załamywali się wybitni najtężsi ludzie, zasłużeni przywódcy ruchu ludowego i robotniczego. Jak nie mogli jej urzeczywistnić — gdy byli przy władzy.

## PRYMITYW MATERIALNY

Prymityw materialny ma swój odpowiednik w prymitywnym stylu życia. Właściwe zaś warunki materialne dopiero tworzymy. Dopiero budujemy demokrację, humanitarny styl życia.

Tylko pesymista pełen pogardy dla człowieka, nie chce widzieć i docenić, do-

cenic jako zapowiedzi właśnie realizacji idei szacunku dla człowieka tego całego wysiłku twórczego, który dokonywuje się w Polsce.

Olbrymie przesunięcia w stosunkach własnościowych dały: możliwość prowadzenia gospodarki przemysłowej planowej, kierowanej, dostosowanej do wyjątkowych w historii potrzeb kraju, oraz wieloraki awans społeczny i cywilizacyjny wsi.

Celowość tych posunięć w gospodarce przemysłowej zaświadcza jest we wszystkich statystykach, mówiących o wyjątkowo szybkim tempie odbudowy i normalizacji naszej gospodarki. Wyjątkowo szybkim zarówno w porównaniu do analogicznych procesów w innych krajach zniszczonych wojną, jak i w stosunku do tempa naszej odbudowy po r. 1918, dokonywanej się w warunkach mniejszego zniszczenia materialnego i ubytku sił ludzkich.

Celowość tych posunięć pozwoliła zastosować środki działania ekonomicznego niedostępne w innych formach gospodarowania, a konieczne w naszej sytuacji. I tak np. stosowane przez państwo niskie ceny deficytowe na wyroby przemysłowe — stały się w braku innej właściwej korbą, którą nakręciliśmy u nas koniunkturę gospodarczą. Dawały one bowiem prywatnemu przedsiębiorcy np. węgiel po cenie 170 zł. za tonę, gdy na wolnym rynku kosztował do 8 tysięcy zł., ta różnica cen — zastępowała prywatnemu przemysłowcowi braki w kapitale inwestycyjnym.

Wynikiem tej celowej polityki jest fakt, iż pierwsi w Europie przechodzimy w naszej gospodarce aprowizacyjnej od stosowania środków administracyjnych do stosowania środków ekonomicznych. Znosimy kontyngenty. Jest to umożliwione przez istotny przyrost naszej produkcji przemysłowej. Jeszcze rok temu — nie byliśmy w stanie tego uczynić. Pomijam ten fakt, iż wtedy nie mieliśmy tak wydajnej pomocy Związku Radzieckiego. Ale przeszkodą główną było to, iż potok towarów przemysłowych był o połowę mniejszy od potoku towarów rolnych. W ciągu roku wyrównaliśmy te braki. Stawia to jednak przed nami i nowe ogromne zadania. Musimy bowiem przebudować naszą sieć wymiany handlowej — aby zetknąć konsumenta wiejskiego z przemysłem państwowym bez pośrednictwa spekulanta. A to wiąże się z walką na najtrudniejszych dotąd odcinkach, jakim jest transport.

Rezultaty drugiej z kolei reformy rolnej — są jeszcze oczywiste. Wyrażają się bowiem w aktywizacji naszej wsi. Zarówno we wzroście organizacji gospodarczych chłopskich i ich wpływie na całość naszego życia ekonomicznego, jak i w gwałtownym przyroście uniwersytetów ludowych oraz ożywieniu się ruchu politycznego na wsi. Wystarczy tu odwołać się do znakomitej pracy Gila: „Żniwo wielkiej reformy” („Odrodzenie”).

Spoleczna waga tych spraw jest niewątpliwa.

Stanowią one realny fundament naszej praworządności i suwerenności: dwu podstawowych warunków realizacji zasady szacunku człowieka w Polsce.

Tylko kraj, w którym odbudowa wyposażenia technicznego i cywilizacyjnego umożliwia sprawne, na poziomie potrzeb nowoczesnego człowieka i nowoczesnego, wielkiego, skomplikowanego społeczeństwa funkcjonowanie instytucji życia zbiorowego (sądy, szkoły, opieka społeczna, bezpieczeństwo itd.) — może być praworządnym.

Tylko kraj, który jest gospodarczo dostatecznie silny, który jest w stanie oddziaływać na europejskie procesy gospodarcze, którego uczestnictwo w światowej produkcji jest zauważalne, którego pomysły i inicjatywy są w stanie wyprzedzać — może nazwać się suwerennym.

Tworzymy materialne fundamenty szacunku dla człowieka w Polsce.

Konkretnie cyfrowe dane mówią, że kroczymy właściwą drogą.

Jeszcze dalecy jesteśmy, choć — do pieruna — bliżsi niż pół roku temu — od pożądanej i koniecznej sprawności naszych instytucji życia zbiorowego.

Jeszcze dalecy jesteśmy od prawdziwej wolności ludzi, którzy nie muszą ulegać naciskowi wyjątkowych potrzeb, którzy są już naprawdę zagospodarowani kulturalnie i materialnie.

Ale każde nasze posunięcie jest świadomym

tworzeniem elementów obiektywnych, rzeczowych tej sprawności i wolności.

Budujemy szacunek człowieka w Polsce nie perswazją: aby go wszyscy chcieli szanować, w warunkach, które budzą tylko wilcze instynkty.

Ale budujemy go całkowicie celowym wypracowywaniem takich rzeczowych układów, takich instytucji, których tylko ogólną nazwą jest: „poszanowanie człowieka w danym kraju”. Bo obiektywny odpowiednik tej idei — to jednak są zawsze i muszą być określone instytucje społeczne, materialnie istniejące.

Jeśli dziś czujemy, że dalecy jesteśmy od wyżej określonego uwieńczenia naszych wysiłków, to pamiętajmy o przewyższających trudnościach, które pociągają konieczne ograniczenia podyktowane przez prawa działania. Wystarczy przypomnieć balkanizację naszego kraju przez reakcyjne bandy. Wystarczy przypomnieć trudności milionowych procesów migracyjnych, zjawiska, jakiego historia nasza dotąd nie znała, a które zostało nam narzucone przez wojnę.

### ZAKŁADY PRZYSZŁOŚCI

Lecz patrzenie w przyszłość trudną jest rzeczą. Na czym może się z jakąś dostateczną pewnością oprzeć ufność uczciwej troski, że to co się u nas dzieje musi doprowadzić do urzeczywistnienia idei pełnego szacunku dla człowieka? Na czym ma się oprzeć przekonanie, że istotnie budujemy konieczne podstawy materialne tego humanitarnego stylu życia? Na czym oprzeć przekonanie, że istnieje konieczny związek między osiągnięciami i dążeniami obecnymi, a oczekiwanym rezultatem: ustrojem szanującym prawa człowieka? Myślę, że o tym można mówić trzeźwo i konkretnie.

Rzeczywiste poszanowanie praw człowieka, jak mówiłem, zależy przede wszystkim od tego, czy jego potrzeby rozstrzygają o kształtowaniu i charakterze procesów zaspakajania elementarnych materialnych potrzeb społeczeństwa.

Spółdzielczość, którą tak intensywnie rozwijamy, jest formą regulacji procesów produkcji i wymiany, regulacji cen i rynków, w której do głosu dochodzi człowiek i jego potrzeby, jego interes. Formy kontroli społecznej nad produkcją — rady zakładowe — są drugim momentem gwarantującym pożądany skutek.

Ten moment społeczny kontroli stał się założeniem struktury naszego samorządu: rad narodowych. Do uprawnień ich i obowiązków należy planowanie prac publicznych i kontrola wszystkich władz i instytucji, a więc i władzy wykonawczej. Rozbudowa samorządu na wszystkich szczeblach od gminy poprzez powiat i województwo do całego kraju — umożliwia pełnię tej kontroli. Dotyczyć ma ona nie tylko praworządności i spraw finansowych, lecz również celowości podjętych prac i zarządzeń władzy wykonawczej.

Podobną rolę spełniać będą — a wiemy z doświadczeń innych krajów, że dobrze spełniają, organizacje zawodowe i gospodarcze — jak np. Związek Samopomocy Chłopskiej, Uprawnienia tych organizacji są coraz szersze. I wiemy, że zwielokrotniają one siły jednostki i umożliwiają przeciwdziałanie się naruszeniom jakichkolwiek jej prerogatyw.

Wreszcie piątym czynnikiem jest stworzona struktura naszego życia kulturalnego. Mam na myśli te wszystkie ułatwienia umożliwiające awans kulturalny, a zatem masowy awans społeczny wobec głodu ludzi wybitnych w twórczych i niezamkniętych, nieskoszonych, rozwijających się społeczeństwach, jakim jest nasze w tej dobie Wielkiej Reformy. Ułatwienia te — to stopnie inżynierskie dla techników z dłuższą praktyką, w czasie której pełnili funkcję inżynierską. To kursy wstępne na uniwersytet. To sieci uniwersytetów robotniczych i ludowych. To różnorodnie świadectw seminariów nauczycielskich, świadectw szkół zawodowych z maturami przy wstępowaniu na uniwersytet. To wreszcie demokratyczna reforma szkolna.

Wszystkie wymienione wyżej instytucje społeczne są w stadium rozwoju. Nie są jeszcze dostatecznie silne. Nie wniknęły jeszcze w całość życia zbiorowego. Nie stały się składnikiem obyczaju. Nie są dostatecznie aktywne. Lecz przeobrażenie ich

na rzeczywistość, w pełni funkcjonujące narzędzia nowego porządku, kontroli społecznej obrony jednostki — to rzecz zależna już tylko od woli i rozumu ludzkiego. Prawa bowiem, które nimi rządzą, ich struktura, ich sposób funkcjonowania, jest przystosowany do naszego celu: zmiany stylu życia zbiorowego na humanitarny w pełni. Te narzędzia nie tylko nie będą stały oporu przy urzeczywistnieniu tego celu, przeciwnie, wykorzystane właściwie, umożliwią pełne, ekonomiczne, szybkie osiągnięcie jego.

Toteż kto w Polsce wyznaje nie ów humanitaryzm nieludzki, lecz właśnie ten humanitaryzm człowieczy, humanitaryzm wiary w człowieka, celowość reform i osią-

ANINA ŻURAWICKA

## Cyfry które nie krzyczą

Niedawno ukazał się na łamach „Tygodnika Powszechnego” artykuł wstępny Marii Jezierskiej o położeniu młodzieży akademickiej („Cyfry, które krzyczą”), w którym autorka omawiając rzeczywistość ciężki los studentów uczelni krakowskich przemilcza wysiłki władz państwowych, zmierzające do zapewnienia młodzieży odpowiednich warunków studiów. Mówi coprawda nieco o pewnych osiągnięciach ale zazwyczaj w formie bezpodmiotowej, tak, że np. nie wiadomo, kto zorganizował wydawanie studentom lektur bezpłatnie (na ogół wtajemniczeni wiedzą, że czyni to Pomoc Lekarska Młodzieży Akademickiej, instytucja stworzona z inicjatywy i funduszy Ministerstwa Zdrowia); zapomniała autorka o wprowadzeniu bezpłatnej nauki w szkołach wyższych, wielkiej zdobyczy demokratycznej szkoły polskiej, nie wspomina o tym, że wszystkie niemal ośrodki akademickie dzięki pomocy władz mają swoje własne domy wypożyczkowe, że na wniosek Ministerstwa Oświaty zapewniły władze aprowizacyjne bezpłatne wyżywienie na okres wakacyjny dla około 15.000 studentów, co stanowi przecież jedną czwartą ogólnej ich ilości, że wreszcie Ministerstwo Oświaty zorganizowało dla kilkunastu tysięcy młodzieży akademickiej płatne praktyki wakacyjne, związane z obranym kierunkiem studiów i zapewniające utrzymanie, mieszkanie i pensje mieszczące w wysokości pobieranej przez odpowiednich urzędników państwowych. Nawet sprawa zeszytów, których cena na wolnym rynku budzi straszne przerażenie autorki artykułu w „Tygodniku Powszechnym” została przez Ministerstwo Oświaty pomyślnie załatwiona. Dzięki inicjatywie Departamentu Nauki i Szkół Wyższych wszystkie podległe mu uczelnie otrzymują i otrzymywać będą stale zeszyty w cenie urzędowej po 2.40 zł. za sztukę. Nierozwiązana natomiast jest jeszcze sprawa skryptów oraz podręczników.

Chcąc pomniejszyć znaczenie wydatnej pomocy państwa dla młodzieży szkół wyższych, wyolbrzymiła autorka niewątpliwą pomoc różnych czynników społecznych i filantropijno-katolickich, jakkolwiek udział ich w ogólnej sumie świadczeń jest zaledwie drobna cząstka tego, co daje państwo.

Trzeba sobie zdać jasno sprawę z faktu, że wysiłki Rządu dla rozwoju szkolnictwa wyższego i poprawy położenia studentów tych szkół są planowe i systematyczne, sumy zaś wydatkowane na te cele urastają stale.

Gdy po uwolnieniu od okupanta przejęły czynniki państwowe polskie szkolnictwo wyższe doszczętnie zniszczone — pozbawione urządzeń, inwentarza, gdy stanęły wobec braku sił naukowych i proforsorskich, braku laboratorii i pracowni naukowych, nikt nie przypuszczał, że w ciągu roku uda się uruchomić nie tylko wszystkie uczelnie przedwojenne, ale kosztów milionów złotych, przeznaczonych przez Rząd na odbudowę kraju, liczbę ich zwiększyć z 28 na 37, że ilość studentów przekroczy o przeszło 13000 liczbę uczących się z r. 1939 (48 000 — dziś ponad 61 000). W Warszawie zniszczonej doszczętnie i pozbawionej budynków uniwersyteckich, urzędów, bibliotek otworzono aż 6 wyższych uczelni, nie licząc szkół podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki i skupiono młodzież akademicką w ilości około 12 000. W Łodzi zaś, mieście pozbawionym zupełnie tradycji uniwersyteckiej, mamy 4 nowoutworzone uczelnie.

Jeżeli teraz z kolei przejdziemy poszczególnie formy pomocy państwowej dla młodzieży szkół wyższych, przekonamy się, że pomimo gorszych warunków życia po wojnie, niż przed — jest ona znacznie wyższa obecnie niż dawniej. Stypendia stale otrzymuje już dziś 15% młodzieży (500 zł. mies.), obok tego niemal ta sama liczba studentów korzysta z tak zwanych stypendiów niestających, których wysokość zależy od każdorazowej wysokości kredytów, przyznanych w danym kwartale. Przyznać trzeba nawiasowo, że rzeczywistość była w budżecie Uniwersytetu dwa takie miesiące, w których wysokość stypendium niestającego wyniosła zaledwie 200 zł., ale działo się to w grudniu i styczniu, na przełomie nowego okresu budżetowego, kiedy kredyty nie zostały jeszcze uruchomione, pewne zaś sumy przyznane zostały uczelni tytułem zaliczki. W następnych miesiącach wysokość tych stypendiów podniosła się już do sumy 450 zł.

galność zmian na lepsze właśnie przy pomocy ludzi takich jacy są — nie świętych i w świecie takim jaki jest — oporny — a nie w próżni — taki człowiek ma jedno do zrobienia: budować, rozwijać wymienione instytucje, wiązać je z całością naszego życia, aktywizować, czynić niezbędnym składnikiem polskiej codzienności.

Fakt przecież, że te instytucje zostały zawiązane, że budująca się Polska na nich opiera swe nadzieje, świadczy, że to właściwie zasada szacunku dla człowieka rządzi naszym planem przyszłości, rządzi naszym realnym wysiłkiem.

A to znaczy, że w Polsce szanuje się człowieka i że się wierzy w niego.

Stefan Żółkiewski.

i 350 zł. Nie należy poza tym zapominać, że duża część studentów korzysta bezpośrednio ze stypendiów Ministerstwa Oświaty oraz z doraźnych zapomóg, że takie doraźne zapomogi otrzymują ciągle Bratnie Pomoce oraz rozmaite koła i organizacje młodzieżowe, że sunia wyznaczona na stypendia wzrosła w stosunku do jej wysokości np. w czerwcu 1945 roku 8-krotnie (dziś wynosi ponad 3 000 000 miesięcznie), że obok wreszcie stypendiów Min. Oświaty akcje te podejmują stale inne Ministerstwa. Największy ich zasięg obejmuje Min. Zdrowia, które wypłaca miesięcznie około 600 000 zł. dla studentów wydziałów lekarskich poza tym pokaźne sumy otrzymują studenci odpowiednich wydziałów od Min. Pracy i Opieki Społecznej, Min. Żeglugi i Handlu Zagran., Ministerstwa Sprawiedliwości i innych. Dzięki też staraniom Min. Ośw. pewna ilość młodzieży akademickiej polskiej korzystać będzie już w nadchodzącym roku akademickim ze stypendiów państw zaprzyjaźnionych z Polską.

Skarży się ob. Jezierska na brak pomieszczeń dla młodzieży akademickiej, brak domów i burs. Słusznie, jest to bowiem najpoważniejszą bolączką wyższych uczelni, ona też sprawia, że młodzież robotnicza i chłopska nie może dziś w pełni korzystać z dostępu do szkół wyższych. Niemniej jednak i w tej dziedzinie wysiłki państwa są olbrzymie. Sumy wydatkowane na remonty bieżące i urzędzenia domów akademickich zwiększają się systematycznie, mimo, iż duża część pracy w tym kierunku została już przeprowadzona, prócz nich zaś pewne sumy przeznaczone na remonty kapitalne prelinuje systematycznie Ministerstwo Odbudowy. Wystarczy powiedzieć, że w zburzonej niemal doszczętnie Warszawie udało się dzięki wysiłkom wszystkich władz miasta odbudować i uruchomić 4 domy akademickie i 2 bursy przy uczelniach i już teraz 16% studentów warszawskich ma dach nad głową. Jeżeli więc w Krakowie, w którym możliwości mieszkaniowe są jednak lepsze, dotąd tylko 10% młodzieży mieszka w bursach i domach akademickich, czy nie ma w tym trochę niedoukładności, że strony lokalnych czynników uniwersyteckich, które nie bardzo umieją dbać o swoje interesy? Znaczący również należy, że mieszkania w domach akademickich są bezpłatne wbrew twierdzeniu ob. Jezierskiej.

Jeżeli teraz dodamy do tych pozycji stale zwiększającą się pomoc na środki żywnościowe, co sprawia, że obiady w stołówkach są prawie bezpłatne i korzysta z nich około 50% studentów, w niektórych uczelniach nawet liczba ta dochodzi do 100%, że pomoc zdrowotna Min. Oświaty przy poparciu Min. Zdrowia już dziś zapewnia większości młodzieży leczenie bezpłatne, szczególnie takich chorób jak weneryczne lub gruźlica, że zagrożeni nimi studenci korzystają z bezpłatnego leczenia w sanatoriach, że dalej w państwie naszym cierpiącym na brak leków, udało się władzom zapewnić młodzieży wiele leków bezpłatnie, że uruchomiono cały szereg poradni przeciwchorobowych, że wreszcie na samo wychowanie fizyczne, które jest pierwszym krokiem do zdrowia otrzymują zwiazki sportowe młodzieży od Min. Oświaty 700 000 zł. kwartalnie i że Min. Ośw. rozdało młodzieży akademickiej z darów UNRRA kilka tysięcy par obuwia, kilkanaście tysięcy m. flaneli, tyleż sztuk bielizny osobistej i skarpet, ponadto otrzymali studenci dary odzieżowe przysłane ze Szwecji i Szwajcarii, to wyciągnemy wnioski zupełnie inne, niż te, które nasunęły się ob. Jezierskiej.

Pomoc państwa okazywana młodzieży akademickiej jest niewątpliwie w dzisiejszym jeszcze okresie niewystarczająca jednak wrażliwość państwa stale i systematycznie.

Jeśli zauważymy, że dopiero rok minął od chwili zakończenia wojny, to stwierdzimy, że dokonano w nim wiele i na polu szkolnictwa wyższego. Oczywiście, nie należy wcale rezygnować z pomocy szeregu instytucji i towarzystw społecznych; jest ona w tej chwili szczególnie bardzo cenna i pożądana. Trzeba tylko stwierdzić, że państwo demokratyczne zna swoje obowiązki i z pewnością w miarę poprawy stosunków gospodarczych wywiązuje się z nich coraz lepiej.

JERZY ANDRZEJEWSKI

# Synowie

(Opowiadanie)

Jedyny syn państwa Grodzickich, dziewiętnastoletni Janek, zginął w powstaniu warszawskim, podczas szturmów na broniony przez Niemców gmach telefonów. Ciężko rannego nie zdążyono dowieźć do najbliższego punktu sanitarnego. Umarł po drodze i został pochowany na podwórku jednego z domów przy ulicy Mazowieckiej. Grodzicy, ludzie już nie młodzi — on bliski sześćdziesiątki, gimnazjalny nauczyciel historii, ona kobieta też pięćdziesięcioparoletnia — mieszkali na Mokotowie, więc o śmierci syna dowiedzieli się ze znacznym opóźnieniem. Przyniósł im tę wiadomość pewien Janka przyjaciel, który był przy jego śmierci, a teraz w charakterze łącznika przedostał się ze śródmieścia na Mokotów kanałami. Wkrótce potem dom, w którym Grodzicy mieszkali, został zbombardowany i uległ zniszczeniu. Z licznych mieszkańców kamienicy Grodzicy jedni z niewielu ocaleli, chociaż od chwili, kiedy się dowiedzieli byli o śmierci Janka, na życiu mało im zależało.

Były to ostatnie dni obrony Mokotowa. Ataki niemieckie stawały się coraz gwałtowniejsze. Bombardowano Mokotów z powietrza i ostrzeliwano osiedle z najbliższej artylerii, granatników i moździerzy. Po kapitulacji tej dzielnicy oboje Grodzicy dostali się, jak wszyscy prawie warszawiacy, do rozdzielnego obozu w Pruszkowie. Stamtąd zostali wraz z większym transportem ludności cywilnej wywiezieni do jednego z obozów na terenie Saksonii. Tam spędzili jesień i zimę z czterdziestego czwartego roku na czterdziesty piąty. Dopiero wiosną przyniosła im wyzwolenie. Gdy ofensywa Czerwonej Armii zbliżała się do granicy Saksonii, Niemcy nie zdążyli przeprowadzić pełnej ewakuacji licznych obozów. Popędzili wprawdzie na Zachód tysiące więźniów i wielu spośród tych gnanych drogami zginęło w przebiegu dnia wolności. Tak się złożyło, iż obóz w którym przebywali Grodzicy, w popłochu pewnego dnia opuszczony przez niemieckich esesmanów, nagle został zajęty przez czołwki sowieckich czołgów.

W parę tygodni później, nabrawszy trochę sił, Grodzicy, mimo wielkich jeszcze podówczas trudności transportowych, zdecydowali się na powrót do kraju, do Warszawy. Nikt wprawdzie tam na nich nie czekał. Nie mieli również na razie żadnych planów na przyszłość. Chcieli odnaleźć grób Janka i przenieść ciało syna na cmentarz.

Pieszko, czasem na przypadkowych podwodach żołnierskich, lub gdy się poszczęściło, na wojskowych ciężarówkach, gromadnie wracali w owe miesiące Polacy z obozów i przymusowych robót w Rzeszy. Znowu na Zachód ciągnęli do swoich ojczyzn wywiezieni na Wschód Francuzi, Belgowie, Włosi, Holendrzy. Blżej granic Polski spotykało się wielu powracających do siebie Czechów. Zaczynała się właśnie owa wielka wędrówka ludów, która później przez wiele miesięcy miała trwać. Szosy zapchane były wojskiem, cywilami i uwolnionymi z obozów jenieckich żołnierzami. Dalej na Zachód trwał jeszcze front, toczyły się ostatnie walki, lecz tu na ziemiach uwolnionych, wśród stłuczonych dróg, zniszczonych miast i powypalanych wsi, pomiędzy wielojęzycznymi tłumami, przy nieustannym dźwięku i nocą szczerku czołgów i turkotnie samochodów, niósł się już wraz z tą pamiętną i tak długo wyczekiwaną wiosną podmuch wolności. Dużo było jednak ludzi, którzy tak jak Grodzicy wracając do ojczyzny nie mieli do kogo wracać.

Po wielu trudach i dniach bardzo ciężkich dotarli Grodzicy do Warszawy. Był akurat koniec maja. A więc wojna się skończyła! Krakowski pociąg, którym Grodzicy jechali, przyszedł do Warszawy ze znacznym opóźnieniem, po południu zamiast wczesnym rankiem. Nim się z odległego dworca Warszawa-Zachodnia dostali do śródmieścia, pora uczyniła się dość późna i mimo długiego wiosennego dnia zmierzchać się począł.

Dzień był ciepły i pogodny. Tłum podróżnych, zdążających pośpiesznie z dworca do miasta, szybko wyminał Grodzickich. Z początku pani Helena chciała nadażyć za innymi, miała jeszcze nadzieję, że zdąży do dnia dotrzeć do śródmieścia i odnaleźć grób Janka. Gdy jednak przyspieszała kroku, pan Adam pozostawał w tyle. Już w pociągu czuł się źle, bardzo był drogą wyczerpany, a teraz ledwie się włókł przygarbiony pod plecakiem.

W pewnym momencie pani Helena zatrzymała się i poczekawszy aż się mąż przybliży, powiedziała z akcentem zniecierpliwienia:

— Jeżeli będziemy szli takim zółwim krokiem...

Tymczasem długa ulica Grójecka opustoszała i ucichła. Czasem zaturkotał wiejski wóz, przejechała wojskowa ciężarówka, Po-

tem znów się stawała cisza wyludnionego pustkowi. W tych stronach miasta, na Ochocie, nie ocknęło się jeszcze życie. Gdy od niezabudowanych terenów zawiewał wiatr, pomiędzy ruinami się gęsty, szaro-żółty pył. W tych ciemnych tumanach fruwały białe pierze i trzepotały się strzępy spalonych papierów. Cała Ochota, jak okiem dookoła sięgnąć, była zniszczona i wypalona. Potrzaskane zgłiszrza czerniały po obu stronach ulicy, nad nimi rozpościerało się wiosenne niebo, bardzo delikatne, jasno niebieskie. Pomiedzy pogiętymi latarniami zwisały kłęby przewodów tramwajowych, na rozbitych chodnikach chrzęściło szkło.

W połowie Grójeckiej Grodzickiego chwycił nagle gwałtowny ból żołądka. Już od kilku dni łapały go takie krótkie, lecz bardzo silne bóle. Skurczony i poszarzały na twarzy, ledwie się dowlókł do najbliższej bramy. Jak wszystkie inne, dźwigała ponad swoją pustką wypaloną mur. Była mroczna, zawalała gruzem, lecz u jej końca otwierała się jasność naświetlonego słońcem podwórka.

— Usiądź na podwórzu lepiej — poradziła pani Helena.

Grodzicki zdobył się na wysiłek i przeszedł tych kilka kroków. Ledwie się znalazł na podwórku, usunął się razem z plecakiem na najbliższe rumowisko cegieł. Głowę zwiesił na pierś, przykrył oczy i tak zniechęcony. Pani Helena stała obok dłuższą chwilę, wreszcie usiadła. W chustce na głowie, w czarnym, bardzo zakurczonym palcie z wytartym futerkiem przy kołnierzu i w płóciennych, zbyt luźnych, powykrzywionych pantoflach, z tobołkiem na plecach, wyglądała na kobietę o wiele starszą niż była. Spod chustki wymykały się jej posiwiałe włosy. Przyglądała je machinalnie i wsunęła pod chustkę.

Zaciszenie było na tym podwórzu. Pomiedzy zgłiszczami zieleniła gdzieś świeża trawa. Wypalone mury pełne były zachodzącego słońca. Śmigły tam z przeciąłym świtem jaskółki.

Grodzicki siedział bez ruchu, skurczony i nie odzywał się słowem. Oddychał ciężko, zacisnąwszy usta. Cierpieć musiał bardzo.

— Późno się robi... — powiedziała w pewnej chwili pani Helena. — Bardzo cię boli?

Skinął tylko głową. Nie wyczuł tym razem w głosie żony zniecierpliwienia, ale zdawał sobie sprawę, iż Helena ma do niego żal o stratę czasu.

Na koniec ból w nim przycichł. Podniósł głowę, otworzył oczy i rozejrzył się po spleźzonych dokoła gruzach i rudawych i czarnych zgłiszczach.

— Popatrz! — odezwał się cicho z akcentem zdziwienia — i tutaj ludzie kiedyś mieszkali...

Nic nie odpowiedziała. Siedziała obok na ceglach, wyprostowana mimo ciężkiego na plecach tobołka, z dłońmi złożonymi na kolanach. Nie trudno mu było odgadnąć o czym myśli. Im byli bliżej kraju, im bliżej Warszawy, tym natrętniej męczyła ją ta jedyna, nieustępliwa myśl, która im tutaj obojgu tak pośpiesznie każała wrócić pomiędzy ruiny. Była ich myślą wspólną, lecz ponieważ się nią nie dzielili, oddalała ich od siebie — zamiast zbliżać.

Grodzicki poprawił plecak i ciężko się podniósł.

— Pójdziemy?

Pani Helena natychmiast wstała. „Skąd ona tyle sił bierze?” — pomyślał z gorczycą. Nie oglądając się na męża, skierowała się po gruzach w stronę bramy Grodzicki jeszcze raz się rozejrzył po podwórzu. Nagle drgnął.

— Helenko, popatrz! — zawołał.

Przystanął.

— Popatrz! — powtórzył. — Spójrz tylko, bez tutaj kwitnie...

Rzeczywiście, na środku podwórka, w miejscu, w którym dawniej musiał się znajdować zieleniec, pomiędzy małych gruzów, martwych cegieł i kamieni, wystrzelała w górę wąta gałązka bzu zieleniejąca młodymi, kleistymi listeczkami, a na końcu osypana drobnym, białym kwiecikiem.

— Widzisz?

Podszedł bliżej i wspiąwszy się na grzyz nachylił nad gałązką.

— Jakież ty tutaj wyrosłaś, biedactwo? — powiedział czule.

Chciał się jeszcze raz podzielić z żoną wzruszeniem, lecz gdy się obejrzał w jej stronę, ujrzał, że Helena stoi przy bramie z pochyloną głową, najmniejszego zainteresowania nie zdradzając kwitnącym bzem. Zawstydzony, iż znowu spowodował opóźnienie, szedł szybko do usypiska. Po chwili znaleźli się na ulicy.

Niestety Grodzickiego chwyciły niebawem ponownie bóle i znów musieli stracić kwa-

drans. Potem, bliżej śródmieścia, parokrotnie unieruchomiali go gwałtowne skurcze. Za każdym razem pani Helena pytała niezmiennie: „Bardzo cię boli?”, ale w jej głosie o wiele więcej niż zaniepokojenia było nadziei, że być może zaprzeczy. Aż wreszcie, gdy po raz czwarty czy piąty musieli się z jego powodu zatrzymać, powiedziała patrząc w ziemię:

— Teraz, to już wszystko jedno właściwie, nie potrzebujemy się tak śpieszyć...

Nic nie odpowiedział. I tak było jasne, że nie zdążą do Mazowieckiej dotrzeć przed nocą. Zmierzało i szli mroczniejszymi ulicami, ciągle wśród ruin i zgłiszcz wyraźnie się rysujących w niebieskawym powietrzu wieczoru. Czas był najwyższy pomyśleć o noclegu.

Ponieważ instynktownie, nawet się nie porozumiewając, kierowali się w stronę dawnego swego domu na Mokotowie, postanowili zająć po drodze na ulicę Śniadeckich, gdzie mieszkała siostra Heleny, Maria Olszewska. Grodzicy od pierwszego dnia powstania nie mieli ani o niej, ani o jej synu, rówieśniku Janka, żadnych wiadomości. Nie wiedzieli nawet, czy żyje. Zbyszek Olszewski brał z pewnością udział w powstaniu. Jego starszego brata, Stefana, rozstrzelano jesienią czterdziestego trzeciego roku w jednej z egzekucji ulicznych. „Na pewno nie ma Marii — kilkakrotnie powtarzała po drodze pani Helena. — Może też nie żyje...”

Front czteropiętrowej kamienicy, w której Maria mieszkała, zniszczony był od bomb. Rozdarła mury odsłaniały na tle kolorowych ścian spleźzone rumowisko gruzów. Stali, dłuższą chwilę patrząc na to zniszczenie.

— Widzisz? — powiedziała wreszcie pani Helena. — Tak samo, jak u nas.

Ale Maria mieszkała od podwórka, nie od frontu. Gdy weszli do bramy, okazało się, że oficyna domu ocalała. W niektórych oknach były już szyby, a w jednym na pierwszym piętrze biały franki.

Na podwórku nieduża jasnowłosa, blada dziewczynka w drewnianych chodakach pompuwała przy studni wodę do białego dzbanka.

Grodzicki ożywił się nieco.

— Widzisz, nie jest tak źle...

Pani Helena także się ożywiła. Podeszła do studni i spytała dziewczynkę o swoją siostrę. Ale okazało się, że mała jest z innego domu, aż z Koszykowej i tu przychodzi tylko po wodę. Tymczasem Grodzickiego znów chwyciły bóle. Wobec tego pani Helena sama poszła poszukać dozorcę. Po chwili wróciła z wypiekami na twarzy. Pan Adam, skurczony przy studni, podniósł na nią zmęczone, bardzo cierpiące oczy.

— Jest Maria! — zawołała. — Wyobraź sobie, że żyje i mieszka u siebie.

Umilkła, spostrzegłszy zmienioną twarz męża.

— Bardzo cię boli? — spytała machinalnie.

Tym razem dość szybko przyszedł do siebie. Tak był jednak osłabiony, iż pani Helena musiała mu pomagać przy wchodzeniu na schody.

Mieszkanie siostry pani Heleny mieściło się na czwartym piętrze. Cała ta oficyna częściowo tylko ocalała. Z jednej strony klatki schodowej dom był wypalony i pomiędzy zczerniałymi więzaniem otwierała się pusta przestrzeń. Popękane i osmolone ściany wskazywały, że tu pożar musiał wygasnąć. W wielu miejscach mury poryte były i poszarpane artyleryjskimi pociskami. Im się wyżej wspinały białe, kamienne schody, tym rozmiary zniszczenia wydawały się większe.

— Jakżeż ona tu mieszka? — zastanowiła się pani Helena. — To chyba niemożliwe...

Na piętrze ostatnim, czwartym, rozległe niebo ciemniało ponad wypalonymi murami. Podmuch wiatru wciskał się na schody. Gruzu tu było pełno, cegieł i tytku. W górę łopotał strzęp blachy. Wyrwane z futryny drzwi do mieszkania Marii odsłaniały mroczną ruinę przedpokoju.

Grodzicki oparł się o chwiejącą poręcz i ciężko oddychał. Pani Helena bezradnie się dokoła rozejrzała.

— To niemożliwe, żeby ona tutaj mieszkała — powtórzyła jeszcze raz.

— Zawołaj! — poradził Grodzicki.

Pani Helena zajrzała do mrocznego przedpokoju. Gruz zachrzęścił pod jej krokami. Bojąc się dalej posunąć w ciemność zatrzymała się zaraz za progiem.

— Mario! — powiedziała półgłosem.

Po chwili zawołała głośniejsze:

— Mario!

Głos jej bardzo łonośnie poniósł się w pustkowi. Ale nikt nie odpowiedział. Już się chciała cofnąć, gdy w głębi mieszkania

skrzypnęły drzwi i nagle światelko rozjaśniło ciemność. W tym świetle zarysowała się sylwetka niskiej i tegiej kobiety.

— Mario! — krzyknęła pani Helena. — To ja!

Maria mieszkała w jednym pokoju, jedynym, który z całego mieszkania ocalał. Był to dawny gabinet męża Marii, doktora, który wyemigrował z Polski z początkiem września i w swoim czasie zginął we Francji. Pokój był przestronny, z parą szerokich okien, których pogięte ramy bez szyb otwierały się wprost na noc gęstniejącą na dworze. Wśród porytych pęknięciami ścian i pod sufitem ciężkim od gęstych zacieków rysowały się przy słabym świetle świecy meble, które kiedyś służyły zawodowi doktora Olszewskiego, dzisiaj zaś poświęcone zostały celom całkiem innym. Ciemniata więc pod ścianą pękata, oszklona biblioteka, którą zamiast książek zwalonych na sam spód, zapelniali najróżniejsze przedmioty: trochę ubrań, jakieś poobijane figurki porcelanowe, elektrolux, przypadkowe resztki zagospodarowanego niegdyś domu. Ogromne biurko ukośnie przecinało rozległą przestrzeń pokoju, na biurku stały garnki, szklanki i talerze, z boku na drewnianej deszczulce maszynka spirytusowa, tu była kuchnia. W rogu pokoju, za postrzępionym parawanem stała na stolku duża balia, moczyła się w niej bielizna. Kilka jeszcze było krzesel, jeden głęboki, skórzany fotel, ciężkie skrzynie pod ścianą, bliżej okna kozetka przykryta kolorową narzutą, na podłodze poskładane jeden na drugim materace.

Na tych materacach, wyciągniętych jak się okazało wraz z innymi rzeczami z zawałonego mieszkania spod gruzów, Maria postanowiła ułożyć zaraz Grodzickiego. Twierdziła, że będzie mu na nich wygodniej niż na kozetce.

— Ona tylko tak na oko porządnie wygląda — mówiła zwało się kręcąc po pokoju. — Ale popatrzcie, jaka jest...

Podniosła narzutę i wtedy wyszło na jaw, że materia pokrywająca kozetkę pękła w poprzek, odsłaniając pogięte sprężyny.

— Tynk się akurat tutaj zwałił — wyjaśniła. — Nie macie pojęcia, co się tutaj działo! Dwie bomby, pocisk artyleryjski... cud, że w ogóle coś ocalało.

Grodzicki siedział w fotelu, pochylony, znów miał widoczne bóle.

— Kłopot ci straszny zrobiliśmy, moja Mario — szepnął, widząc jak się Olszewska krząta koło posłania dla niego.

Wzruszyła ramionami.

— Nie opowiada głupstw! Rozbieraj się i kładź się zaraz. Helenka położy się na kozetce.

— A ty? — spytał Grodzicki.

— O mnie się nie martwicie! Dam sobie radę. Tutaj już więcej osób nocowało. Mam jeszcze dywan, tam za szafą leży, wiecie ten nasz duży z salonu, uratował się... Widzicie, jaka jestem bogata! — roześmiała się.

Była ożywiona, trochę podniecona, pełna ruchliwości i energii. Młodsza o kilka lat od pani Heleny, także już miała włosy bardzo siwawe, twarz za to prawie młodą, dużą i rumianą, z piwnymi błyszczącymi żywo oczami. Gdy już ułożyła Grodzickiego i przykryła go mimo jego protestów kołdrą, zabrała się do zagotowania wody. Musiała od dawna zapanować nad ciasnotą natłoczonego pokoju, niczego bowiem nie szukała, wszystkie potrzebne przedmioty znajdowała natychmiast pod ręką, poruszała się wśród ścisłości i nieporządku z nieomylną trafnością.

— Zaraz będzie herbata — mówiła ciągle w ruchu. — A Adamowi zagotuję wodę do butelki, to mu powinno dobrze zrobić...

Jednocześnie opowiadała o sobie, o swoich przeżyciach. Wyszła zatem z Warszawy już po upadku powstania. Przeszła przez Pruszków, lecz udało się jej stamtąd wydostać. Zimę spędziła na wsi w łowickim, a tu wróciła w kilka dni po uwolnieniu miasta. Zaczęła zaraz pracować, dostała posadę w Zarządzie Miejskim. Z początku, jeszcze w lutym, marcu, kiedy było zimno, ciężko trochę było żyć. Teraz wiosna. I tak...

Zamilkła nagle i zamyśliła się.

— Popatrzcie, a was wywieźli... Tyle razy myślałam, co się też z wami mogło stać. Okropne rzeczy musieliście przejść?

Grodzicki leżał na materacach na wznak, z rekoma wyciągniętymi na koldrze. Gdy miał oczy zamknięte, wyglądał jeszcze bardziej wymizerowany i wynędzniały. Półmrok ogarniał pokój. Za pustymi oknami niebo ponad zgłiszczami ciemniało ogromne i pełne świeżych, wiosennych wiazań Chłód nocy ciągnął ze dworu. W oknie syczeć już poczyniała woda. Cisza była.

Maria szybko się otrząsnęła z zamyślenia i okrągli, niska, trochę do barylki podobna,

potoczyła się w głąb pokoju. Tam grzebiąc poczęła w jednej ze skrzyń.

— A Janek? — spytała pochylona. — Macie o nim wiadomości?

— Tak — powiedziała spokojnie pani Helena. — Janek zginął.

Po dłuższej chwili Maria wyprostowała się i ze ścierką w ręku wróciła do światła.

— Jest pochowany na Mazowieckiej — wyjaśniła pani Helena. — Chcemy go koniecznie przenieść na Powązki, po to przyjechalimy.

Poprawiła włosy wymykające się jej spod chustki i znowu się odezwała:

— Jak to jest z tym naszym grobem rodzinnym, pamiętasz Mario? Jest tam jeszcze miejsce?

Maria nalała do miski wody i poczęła zmywać na biurku porozstawiane brudne naczynia.

— O tak, na pewno jest! Grób był przecież na sześć osób, a leży tam tylko mama — poczęła wyliczać — wuj Stefan, ciocia Mania, syn ciotki Mani... i już. Na pewno jest jedno miejsce. Widzisz, jaki u mnie porządek — zaczęła się usprawiedliwiać — aż wstyd! Ale ja naprawdę cały dzień jestem poza domem, nie mam tu nawet czasu porobić porządków. Zaraz będzie herbata.

Zmywała pośpiesznie, starannie wycierała każdą szklankę i odstawiła ją na bok, na drugą stronę biurka.

— A wiecie — odezwała się niespodziewanie — mój Zbyszek także zginął. W kanałach przy przechodzeniu ze Starego Miasta.

Pani Helena podniosła głowę i spojrzała na siostrę. Ale ta była plecami do niej odwrócona. Nie zresztą więcej nie powiedziała, a i pani Helena nie rozpytywała o szczegóły. O cóż zresztą było pytać? Każdy, kto przeżył warszawskie powstanie, wiedział jak w kanałach ginęli ludzie, jaka to była śmierć. „Biedna ona — pomyślała pani Helena — nawet grobu Zbyszka nie ma”. Znowu zwłoki starszego Olszewskiego, tego rozstrzelanego na ulicy, zakopano nie wiadomo gdzie. I ogarnawszy naraz los swojej siostry sama przez moment poczuła się o tyle od niej bogatsza, właśnie o ten grób, który jutro miała odnaleźć, o ten skrawek podwórkowej, jałowej ziemi, która kryła w sobie to wszystko, co w życiu najbardziej kochała i co było jej nadzieją.

Po herbatce Grodzicki poczuł się nieco lepiej i zasnął. Robił przynajmniej wrażenie śpiącego. Leżał cicho na wznak i z zamkniętymi powiekami. Maria zasnęła od jego strony świecąc, aby blask światła mu nie przeszkadzał. Pani Helena zdjęła wreszcie z siebie chustkę i palto, ale jeść nic nie mogła, tylko gorącej herbaty się napiła. Rozmawiała z sobą półgłosem. Maria obszernie, ale trochę chaotycznie opowiadała o powstaniu w tej dzielnicy, o wsi gdzie mieszkała potem, pani Helena powiedziała trochę o obozie w Saksonii. Gdy pochylone ku sobie rozmawiały, cisza trwała dokoła tak głęboka, iż zdawać się mogło, że nikt żywy nie mieszka w całym domu. Pogasyły ostatnie światła, gwiazdy ostrzej migotały wśród obszaru nocy.

Późna się tymczasem zrobiła pora, więc Maria zakrzętała się koło urzędzenia posłań. Dziurę w kozetce zapchała starymi galganami i z biblioteki wydobyla czyste prześcieradło.

— Popatrz! — pochwaliła się — jaka ja jestem zasobna. Nawet dwa prześcieradła uratowałam. Ja zresztą mam dostać inne mieszkanie, obiecano mi już jeden pokój, ale w dobrym stanie. Jak nic nie znajdziecie dla siebie, to możemy razem zamieszkać.

Pani Helena, złożywszy dłonie na kolanach, patrzyła na noc za oknami.

— Ze tobie się chce zabiegać o takie rzeczy — powiedziała nagłe.

Maria, pochylona nad kozetką, wyprostowała się.

— Jakie rzeczy?

— No, o mieszkanie... w ogóle...

— A co mam robić? — obruszyła się tamta. — Muszę przecież jakoś mieszkać.

Pani Helena milczała zrazu.

— Ja wiem — powiedziała wreszcie. — Ale ja bym już nie mogła. Po co to wszystko? Dla mnie już nie ma życia.

Maria, obrucząc przytrzymując przy sobie prześcieradło, wruszyła ramionami.

Cóż to za gadanie? — powiedziała szorstko. — Żyjesz, więc jest życie.

— Ale co to za życie?

Akcent takiego znużenia zabrzmiał w jej głosie, iż Maria nic nie odpowiedziała. Stała dłuższą chwilę, przyciskając do piersi prześcieradło, aż wreszcie, jakby się zbudziła z ciężkiego snu, pochylila się nad kozetkę i powoli nieswoimi, zmęczonymi rękami, które uczyniły z niej nagle starą, burczą zmorenowaną kobietę, zacięła poczęła posłanie.

Wkrótce potem obie kobiety położyły się. Maria zgasiła świecę i ciemność się stała. Gdzieś przy dachu łopotał strzęp blachy. Miasto spoczywało w głębokiej nocy martwej i bezgłośnie.

Mimo zmęczenia pani Helena ani na chwilę nie zasnęła snem głębszym, który uwalnia od dręczących myśli. Nie są przyjaciółmi człowieka takie noce.

Ledwie świt jaśnieć począł na dworze, pani Helena zerwała się i pośpiesznie zaczęła ubierać. Krzątała się po cichu, aby nikogo nie zbudzić. Maria, przykryta paltem, spała na dywanie rozłożonym koło biblioteki. Za to Grodzicki, który też robił wrażenie mocno śpiącego, otworzył w pewnej chwili oczy.

Pani Helena była już całkiem prawie gotowa do drogi. Nakładła właśnie palto.

— Idziesz już? — spytał.

— Skinęła głową.

— Nie zaczekasz na mnie?

Pani Helena sięgnęła po chustkę i poczęła ją zawiązywać pod szyją. Grodzicki uśmiechnął się na lokciu.

— Zaraz się ubiorę — powiedział cicho.

— Poczekaj chwilę.

Chciał się wysunąć spod koldry, lecz pani Helena zatrzymała go.

— Po co będziesz wstawać? — zaczęła mówić pośpiesznie. — Znowu cię zacznie boleć. Poleż lepiej, przecież to nie ma sensu... zmęczysz się tylko...

Ponieważ nic nie odpowiadał i siedział na posłaniu z pochyloną głową, podszła bliżej.

— Będziesz leżeć? — spytała z akcentem zaniepokojenia. — Na pewno się nie czujesz dobrze...

— Nie poruszył się.

— Adamie! — pochylała się nad nim.

Teraz dopiero podniósł głowę i spojrzał na żonę badawczo, przenikliwie.

— Idź, jak chcesz! — powiedział ściśniętym gardłem. — Ja wiem, że wolisz tam być sama.

Pani Helena zaczerwieniła się.

— Ależ Adamie, co ty mówisz?

— Idź, idź! — przerwał nieprzyjaźnie.

— Wiesz, że chciałaś mieć tylko dla siebie.

Zawsze tak było!

Cofnęła się pod jego wrogim spojrzeniem i odruchowo przycisnęła dłonie do piersi.

— To nieprawda!

— Idź już, idź! — zatrząsał nagle rękoma, jakby ją chciał jak najprędzej od siebie odpędzić.

Więc poszła sama. Jeszcze ze schodów chciała się wrócić, lecz niecierpliwie, która ją od tyłu dni trawiła, była w niej silniejsza. Ledwie się znalazła na dole, niecierpliwie owa i niepokój ogarnęły ją całkowicie.

Szła szybko, nieomal biegła ulicami, na których wśród poblasku wiosennego poranku, ledwie ruch się zaczynał. Wszędzie były jednakowe ruiny, wszędzie był gruz na chodnikach, szaro-żółty pył w powietrzu, a na bocznych ulicach piętrzyły się barykady.

Na Mazowieckiej, która z pięknej i jasnej ulicy, zmieniła się w mroczny, wśród ruin spiętrzone wilgotny wąwóz, pani Helena z trudem odnajdywała kształty dawnych domów. Znała wprawdzie numer kamienicy, w której podwórku miał się znajdować imieniem i nazwiskiem oznaczony grób Janka, lecz z numeracji domów ślad nie pozostał, ruiny i zgliszczą były do siebie wszystkie podobne. Przechodziła od rumowiska do rumowiska, weszła na koniec do jednej bramy, lecz podwórko okazało się tam małe i puste, żadnych grobów na nim nie było. Wróciła więc z powrotem na ulicę. Weszła do bramy następnej i ogarnął ją straszliwy niepokój, ponieważ z bramy nie było na podwórku przejścia. Bomby tu musiały upaść, albo pociski ciężkiej artylerii, miały bowiem gruz zwalonych murów zagradzał drogę na wysokość co najmniej piętra.

Dłuższą chwilę stała przed tą martwą górą, bez ruchu, z załamanyimi rękoma, jakże wobec niej mała i bezradna. I znowu wróciła na ulicę. Ale po paru krokach cofnęła się. „Boże — pomyślała — przecież tak mało chcę, tak naprawdę mało...”

Rzadki przechodzień, który się akurat nadarzył — drobny mężczyzna w pogiętym kapeluszu, zbyt luźnych spodniach i z wielkim tobolem na plecach — objaśnił ją, iż dom, którego szuka, to właśnie ten. Przez chwilę stała ogłuszona tą wiadomością. Mężczyzna poprawił worek, kapelusze zsunął z czoła i przyjrzał się jej ciekawie.

— Pani tu miała kogo? — spytał.

— Zgadza się? Tam kupę ludzi pochowali. Ale bramy jeszcze nie odwalili. Niech pani boczkami przejdzie, śmiało! przejście jest, o tam, gdzie sklepy były!

Rzeczywiście przejście było pomiędzy wypalonymi ruinami parteru. Przeszedłszy tamtędy znalazła się na małym i zacisznym podwórku, lecz następna, zachowanym na szczęście sklepieniem podparta brama wprowadziła panią Helenę na drugie podwórko: bardzo rozległe, z trzech stron zamknięte szkieletami wysokich kamienic, z czwartą na wprost rozwalonym parkanem. Niedługo po za tym ogrodzeniem mieścił się ogródek modnej kawiarni, dużo tam było zieleni: lecz z wysokich drzew, potrzaskanych teraz uschniętych, ocalało nareż zaledwie kasztanów kwitnących świeżym listowiem. Na tle

## ADOLF SOWIŃSKI

\* \* \*

Nasze góry są stare jak wszystko u nas, bo nawet wjeżdżając wierzbi i brzoź nie pamięta nikt ze starych. Pastuchy w mchu znają gruz lawet, w dziuplach strzelby powstańców, więc pęta dla pasących się koni robłą z pasów od broni.

Wschód z kościołem graniczy o pół staju, o staju z jarem gdzie budzą się najpierw mrowiska, potem wrony i cienie, potem strumień przestaje milczeć i jeszcze ciepły wybłyska z góry skrzypów, a za nią las się wikła z otchłania.

To co ludzie tu zowią ementarem, jest tukiem rozkwitu sąsiadującym o chmurę z mym domem, gdzie zbudzisz się szukam ręką serca jak zgrzytu świerszcza, który znikł pod ogromem wykłoszonej pszenicy, za miedzami z gorczycey.

Wiesz nazywa się Cisów, trakt ją łączy z bukami, dalej prowadzi przez jodły i piachy aż do pustki za sosną z gorącymi sękami gdzie po deszczu sięgają zapachy malin i cjeń lub kamień łatwiej podnieść niż ramię,

łatwiej o miłość niż uśmiech, że nasze góry są stare, więc posławiły i nasze anioly i zrównały się z ludźmi, orzą w siewce i kare, wieczór poważnie siadają za stoły a choć który zdrzemnie słyszy gdy w łnie pęka sienie.

zniszczenia dokoła przypominały trochę papierową i tandetną dekorację. Głęboka i rozległa cisza tu panowała, taka sama, jak na innych warszawskich podwórzach i bocznych ulicach.

Pani Helena z daleka dojrzała rozliczne krzyże. Biegły środkiem podwórka kilkoma rzędami, dużo ich także było wzdłuż parkanu. Na ten widok serce pani Helenie zabiło tak mocno, iż przez moment oddech uwiązł jej w krtani. W ogrodzie świegotwały wróble, a słońce poranne jaśniało w głębi ruin wśród nieruchomej i żółtawej kurzawy pyłu. Patrzyła na te małe krzyżyki suchymi, od kurzu piekącymi oczami, usiłując odgadnąć, który wznosi się nad Jankiem. Serce pulsowało w niej coraz natęczywszy. Potykając się na nierównym, pociśkami porożym terenie, iść poczęła wreszcie w kierunku mogił, dłońmi obejmując szyję, jakby chciała tym ruchem uciszyć w sobie niepokój i wzruszenie.

Gdy doszła do mogił najbliższych, wniknął w nią nagle spokój. Miała ostatnimi czasy wzrok bardzo zmęczony, pochylała się musiała, aby z drewnianych tabliczek umieszczonych pod krzyżami odczytywać imiona i nazwiska tych, którzy spoczywali w ziemi. Przechodziła od grobu do grobu, schylała się przy każdym, a gdy się zdarzało, że napis był nieczytelny, niewyraźny w pośpiechu olówkiem napisany, lub deszczem zamazany, przykładała musiała i rękę opierać o chłodną, wilgotną ziemię. Najroźniejsi ludzie tu leżeli. Był starzy i w siłę wieku, mężczyźni i kobiety, najwięcej jednak młodych chłopców. Czytała: dziewiętnaście lat, dwadzieścia dwa lata, siedemnaście lat, dwa dziećcia. Czytała ich imiona surowiej i dojrzałej brzmiały w napisach ich zdrobnienia, którymi z pewnością wołano ich z życia. Zatrzymywała się przy wojskowych, konspiracyjnych pseudonimach, które krótko, jak zawiązania walki i sławy dwięczały przed nazwiskami. W jednej z mogilek leżał chłopiec czteremastoletni. Pod krzyżykiem na jego grobie spoczywał żołnierski hełm, pociemniały i rdzą poplamiony, duży hełm dorosłego mężczyzny. A obok leżał porucznik Wilk, który miał dwadzieścia trzy lata. I tak jedna obok drugiej ciągnęły się te mogilki ciasno stłoczone, jak gdyby wspólna ziemia poza śmierć przedłużała braterstwo broni i nadzieję.

W pewnej chwili serce znowu mocniej zabiło w pani Helenie. Przeczytała na jednej z tabliczek: Jan. Przypadła do ziemi. Nazwisko było bardzo niewyraźnie wyryte. Przez moment uległa złudzeniu, że to jej własne. Ale przypatrzwszy się literom uważniej odczytała: Grabowski. Jan Grabowski i nie więcej. Dłuższą chwilę kłęczała przy tym grobie, wreszcie się podniosła i dalej zaczęła wędrować. Zatrzymała się przy końcu dopiero podwórka, nieomal na krawędzi ogromnego leja po bombie. Za nim rozdzielał ziemię drugi, taki sam lej. Przeszła ich skrajem. W obu ciemniła na dnie gęsta, zielonkawa woda. Za nimi znajdowało się kilka już zaledwie grobów. Żaden z nich jednak nie był Janka. Przeszła więc na drugą stronę podwórka. Ale tam znaku żadnych grobów nie było. Gruz martwych cegieł i kamieni przyciskał ziemię. Ogarnięta niepokojem wróciła do tych samych grobów, od których zaczęła poszukiwania. I znowu poczęła kolejno odczytywać nazwiska. Ale niepokój w niej wzrastał. Całą siłą woli musiała nakazywać sobie spokój, aby nie zaplątać się ostatecznie w gęstwinie krzyżów i nie przeczytać tego, który poprzednim razem musiał ujść jej uwadze.

Dzień się tymczasem stał niezwyklej piękności i słońce coraz mocniej przygrzewało. Pani Helena zsunęła z głowy chustkę, palto rozpięła, mimo to bardzo jej było gorąco. Schylała się z coraz większym trudem. Chwilami całkiem ją opuszczały siły i musiała przysiąść na ziemi, aby oprzeć się zawrotowi głowy i nie upaść.

Po pewnym czasie po raz drugi dotarła do skraju owych wyrw po bombach. I teraz się dopiero zorientowała, iż upaść tu musiały pociski bardzo ciężkie i że w tym miejscu także były przedtem groby. Żaden po nich jednak ślad nie pozostał. Napełnione ciemną, zielonkawą wodą u dna przypominały podmiejskie glinianki. Strone ściany lejów były gładkie i stwardniałe. Pani Helena długo stała nad tymi dołami i patrzyła w ich głąb. Ale jeszcze nie mogła uwierzyć, aby takiej zagładzie uległ grób właśnie Janka. Raczej sobie, swoim oczom nie do wierzyła. Więc na nowo, po raz trzeci poczęła obchodzić groby.

Późno już było popołudnie, gdy wróciła do domu. Marii jeszcze nie było. Pan Adam leżał na materacach i oczy otworzył na chwilę tylko, gdy pani Helena weszła do pokoju. Być może nie zdążył nawet zauważyć, jak straszliwie wyglądała zmęczona: przygarbiona, z czarnymi od ziemi dłońmi i zapadniętymi oczami. Zamknął zaraz powieki z powrotem i leżał bez ruchu.

Pani Helena powoli zdejmowała płaszcz, chustkę. Potem ciężko usiadła.

— I co? — spytał na koniec Grodzicki.

Krótko o wszystkim opowiedziała. Nie pytał o nic więcej. Przez dłuższy czas milczeli oboje. Wreszcie pani Helena podniosła się. Na biurku pełno było brudnych szklanek i talerzy.

— Jadłeś co na obiad? — spytała.

— Tak — odpowiedział nie otwierając oczu. — Maria ugotowała z rana kaszę...

Stała chwilę, patrząc w okno pełne teraz zachodzącego słońca. „Niczego już mój syn nie zobaczy, niczym się nie ucieszy, nigdy się nie roześmieje...” — pomyślała ciężko. Ból ją przenikał tak dojmująco, rozpacz, żalność i tęsknota, iż przez moment ciemność ją ogarnęła tak mroczna, jakby nie dzieł był, lecz noc najgłębsza. Gdyby jeszcze miała w sobie łzy, zapłakałaby wśród tej ciemności i nie nad sobą, nad swoim opuszczeniem i samotnością, lecz nad synem, którego już nigdy ani ucieszyć, ani zasmucić, ani zawieść nie miało życie. I ta suchość oczu, pustych i prawie martwych, przełamała w niej namiętnie cierpienia. Mniej ciemnie nie mogła. Bardziej cierpieć nie miała sił.

Wziela miskę, w której wczoraj wieczorem Maria zmywała naczynia, nalała wodę i zaczęła płukać szklanki i talerze. Tak się tym zajęła, iż nie dosłyszała głosu męża.

— Mówites co? — oknęła się naraz.

— Tak — szepnął.

I po chwili powiedział cicho:

— Nie powinienem ci być tego, Helenko, powiedzieć rano...

Talerz drgnął w rękach pani Heleny. Wytarła go jednak starannie do końca i odłożyła na bok. Potem dopiero podeszła do męża. Przy materacach stało krzesło. Usiadła na jego brzegu.

— To moja wina — powiedziała półgłosem.

Otworzył powieki i uczynił ruch, jakby się chciał podnieść. Ale w tym samym momencie pochylała się nad nim i pogładziła go po leżącej na koldrze, wychudzonej dłoni.

— Powinniśmy teraz być dla siebie dobrzy, mój Adamie — powiedziała łagodnie.

Jerzy Andrzejewski

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

# Ze spraw angielskich

I.

## BRAK DEFINICJI

„Tylko ci, którzy urodzili się Brytyczykami, mogą to w pełni zrozumieć. Oni jedni zdolni są odcyfrować słowa, wypisane olbrzymimi literami, a niewidzialnym atramentem, na Skalach Doverskich: „Myśl wzbbroniona“.

Takiej odpowiedzi udzielił swego czasu Sir Austin Chamberlain dyplomatom i dziennikarzem kontynentalnym w Genewie, gdy w czasie jednego z zebrań Ligi Narodów pewne niezrozumiałe dla nich pociągnięcia rządu z Downing Street spowodowały skierowane pod jego adresem pytanie: „Jaka jest przewodnia myśl polityki brytyjskiej?“ Istnieniu podobnej myśli Chamberlain w swej odpowiedzi zaprzeczył, a równocześnie zakwestionował celowość prób penetracji obcej logiki w dziedzinie rzeczy angielskich; imaginacyjny zakaz umieszczony był u wjazdu do portu, na skalistych ścianach nadbrzeżnych, zwróconych frontem do statków, wiozących przybyszów z kontynentu europejskiego.

„Logika w zastosowaniu do polityki budzi we mnie głęboką nieufność; cała angielska historia świadczy o racji mego stanowiska... Ponieważ zarówno instynkt, jak i doświadczenie, uczy nas, iż natura ludzka nie jest logiczna, jest rzeczą niemądrą traktować instytucje polityczne, jako instrumenta logiki“. — Jest to jeden z pierwszych artykułów wiary tegoż dyplomaty brytyjskiego, sformułowanych w mowie, wygłoszonej w czasie obrad nad „Protokółem genewskim“ (25 marca, 1925).

\* \* \*

Od szeregu lat jesteśmy świadkami wzmoczonego pędu ku nauce języka angielskiego. U pewnych jednostek wielkim hamulcem na drodze do tego celu jest głęboko zakorzenione przekonanie o wyjątkowych trudnościach wymowy angielskiej. Zachęta natomiast bywa myśl o rekompensacie w formie odciążenia po stronie gramatyki, gramatyki tak prostej i do tego stopnia wywolonej z więzów systemu reguł i przepisów, iż można by ją, jak to słusznie zauważono, wyczerpująco spisać na jednej kartce papieru.

Tak przynajmniej przedstawia się zewnętrzna strona zagadnienia.

Podchodzący do języka angielskiego obcokrajowiec nie zdaje sobie jednak sprawy z pewnych znacznie poważniejszych trudności gramatycznych, trudności ukrytych, bo pisanych niewidzialnym dlań atramentem; trudności utajonych w głębi ducha angielskiego, uwewnętrzniającego się poprzez język. Dlatego też umysł nie-angielski, kształcony w dyscyplinie jasnych, a rygorystycznie wyłożonych reguł, właściwych systemom gramatycznym innych języków, w szczególności łaciny, staje na dalszym etapie swego studium wobec niezrozumiałego dlań zjawiska nielogiczności i chaosu. Wiadomą jest rzeczą, jak to łatwo poczynając przyswaja sobie formy shall i will w zastosowaniu do czasu przyszłego, a w oparciu o zmoryzowany, bardzo prosty, paradygmat. Posunąwszy swe studium nieco dalej, zaczyna tracić orientację, konstatając, iż sposoby użycia tych form, czy to w ustach, czy pod piórem najwybitniejszych stylistów angielskich, wykazują niezrozumiałe, a na pozór samowolne różnice, przede wszystkim zaś odbiegają od wyuczonych przezeń schematu.

Drewny wątpliwościami student zagraniczny zwrócił się do swego profesora na uniwersytecie londyńskim z prośbą o wyjaśnienie mu tajemnicy użycia form shall i will. — „Pół godziny winien obcokrajowiec zastanawiać się“, brzmiała odpowiedź, „zanim powzięnie decyzję co do tego, którą z tych dwu form ma w danym wypadku zastosować. A powziąwszy po półgodzinnym namyśle nagle postanowienie np. co do wyboru will, winien momentalnie i bez wahania przerzucić swą decyzję na formę przeciwną, tj. zastosować shall. Trafność wyboru jest gwarantowana jedynie pod warunkiem tego rodzaju postępowania“.

Była to odpowiedź, obrazująca irracjonalny charakter gramatyki angielskiej, a w istocie swojej podobna do tej odpowiedzi, której udzielił A. Chamberlain na pytanie: „Jaka jest przewodnia myśl polityki brytyjskiej?“. Bo gramatyka angielska nie jest gramatyką reguł. Jest gramatyką pewnych głęboko utajonych zasad, pewnych praw i sił niezmiennie językiem rządzących. A zasady te i siły są tak trudne do podpatrzenia, jak zasady i siły, które kierują polityką brytyjską.

Sądząc społeczeństwo angielskie po owych jego pracy, której ukoronowaniem jest taki fenomen dziejowy, jak Imperium Brytyjskie, trudno nie zadać sobie pytania na temat źródeł, z których czerpano energię, nieodzowną przy budowie tego rodzaju dzieła. Jednym z nich jest niewątpliwie angielski system wychowawczy. Nic też dziwnego, iż szkoła angielska stała się przedmiotem szczególnego zainteresowania po stronie obserwatorów z kontynentu; między innymi, szkoła średnia typu public school, słynna ze swych wartości wychowawczo-obywatelskich. Po niezawodne w tym względzie informacje można sięgnąć, zdawałoby się, do gruntownie opracowanej książki o szkolnictwie angielskim („The English Educational System“), której autorem jest wybitny i powszechnie szanowany pedagog, Cyril Norwood, długoletni kierownik słynnej public school w Harrow. Uprzedzając poniekąd zaciekawienie czytelnika, zdezorientowanego widokiem niezrozumiałych dlań praktyk i metod angielskich w tej dziedzinie życia, pisze autor w odpowiedzi na oczekiwane indagacje: „Często ludzie pytają: co to jest szkoła średnia typu public school? Muszę stwierdzić, iż to jest pytanie, na które trudno mi jest dać jasną odpowiedź“. Wybitny ów autor i pedagog nie był tedy w stanie określić, co to jest ta szkoła, która w Anglii bywa uważana za jedną z najważniejszych instytucji społecznych, a którą przecież on sam, przez tyle lat i z takim pożytkiem prowadził.

Wstrząs pierwszej wojny światowej spowodował daleko idące zmiany strukturalne w Imperium Brytyjskim. Dominia przeobraziły się w jednostki polityczne z centralą londyńską równoprawną. Symbolem ich współrzędności z Wielką Brytanią stał się Okrągły Stół obrad imperialnych, przy którym premier angielski, rzekłszy się dawniejszego prymatu, zasiada obecnie z premierami dominiów, jako równy z równymi.

Nie oswoiwszy się jeszcze z tym nowym zjawiskiem, uczestnicy konferencji imperialnej w r. 1926 zadali sobie pytanie: „Czym my właściwie jesteśmy?“ Pytanie tego rodzaju narzuciło się jako konieczność, gdyż imperialne zmiany ustrojowe po r. 1919 dokonały się same przez się, nie na podstawie wypracowanego z góry planu, lecz w wyniku działania pewnych praw rozwojowych. W następstwie poszukiwań nazwy dla nowego stanu rzeczy, na pytanie: „Czym my właściwie jesteśmy — odpowiedziano zgodnie: „Jesteśmy Brytyjską Wspólnotą Narodów“. Taka była konkluzja obrad przy Okrągłym Stole w r. 1926.

W toku jednego z posiedzeń konferencji imperialnej za czasów drugiej wojny światowej wysunięta została propozycja dokładnego sformułowania roli, funkcji i wzajemnego stosunku jej członków; zdawało się to konieczne ze względu na znaczenie Okrągłego Stołu, jako organu, którego zadaniem jest rozpatrywać w najwyższej instancji sprawy Imperium Brytyjskiego. Przeciwko zgłoszonemu wnioskowi podniesiony został protest ze strony premiera Australii, który zyskał sobie poparcie większości; wniosek odrzucono, gdyż ogół uczestniczących wyraził wolę utrzymania status quo, opowiadając się przeciwko projektowi skrócenia konferencji za pomocą wiążących formuł i określeń. Na skutek takiego obrotu rzeczy, konferencja Okrągłego Stołu nadal pełni swe funkcje bez statutu i podstaw prawnych. Nic więc dziwnego, jeśli na pytanie: „Co to jest Okrągły Stół i jaki jest jego stosunek do formy prawnej?“ najbardziej autoritatywna odpowiedź będzie miała, jak w tylu innych wypadkach, charakter wymiatacy.

## STULECIE PRAKTYK POLITYCZNYCH I GOSPODRACZYCH (1846—1946)

Przed trzystu laty, dając wyraz swemu przekonaniu, iż nikt tak daleko nie zajdzie, jak ten, kto nie wie, dokąd idzie, okazał się Cromwell typowym przedstawicielem angielskiego sposobu myślenia i postępowania. Prowadząc naród ku przyszłości, angielscy mężowie stanu poszukiwali dróg bez określonego zazwyczaj planu i bez jasnej świadomości celu. Ta zasada kierował się, nośród innych, Robert Peel, sprawca wielkiej „rewolucji“, której setna rocznica zbiega się z „rewolucją“ dni dzisiejszych (Por. artykuł M. Fiderer, „Kuznica“ Nr 9, br).

Peel doprowadził do epokowego przewrotu, mimo że był torysem, konserwatystą. Książę Wellington, odkryty chwałą zwycięzca z pod Waterloo, określił go jako człowieka, który nigdy nie był w stanie dostrzec końca swych zamierzeń.

Powiedzenie to nie było niczym innym,

jak parafrazą słów Cromwella, wyrzeczonych dwadzieścia lat przed tym. Powiedziawszy te słowa, książę Wellington sam przyłączył się do rewolucji, mimo że był, podobny w tym do Peela, torysem, konserwatystą.

Przechodząc do obozu rewolucyjnego, sprzeniewierzyl się Peel partii politycznej, której przez tyle lat przewodził. Postąpił na podobieństwo „tureckiego generała“, który z całą swą flotą wyładował w porcie wroga, ku wielkiej konsternacji Sultana; tak brzmiała inkryminacja Disraeli'ego (torysa, konserwatysty) pod adresem Peela, z powodu popełnionej przezeń zdrady.

W dwadzieścia z górą lat później Disraeli przeprowadził nową reformę wyborczą, rozszerzając podstawy elektoratu po myśli liberałów, swych przeciwników politycznych, a nawet ich dystansując. Krokiem tym zaskoczył zarówno zdumioną stronę wroga, jak i swoją własną partię konserwatywną, wstrząsnął widokiem zgubnego dla jej egzystencji manewru swego przywódcy, którego czyn dał się skwalifikować tylko własnym jego powiedzeniem o Peelu; Disraeli postąpił bowiem z kolei również jak ów generał turecki, lądujący w nieprzyjacielskim porcie.

Dlaczego zdradził Peel? Dlaczego w ślad za nim poszedł Wellington? Dlaczego to samo uczynił Disraeli?

Partia torysowska, której Peel przewodził, była bezkompromisowo wroga zniesieniu cel na zboże. Reprezentując warstwę obywateli ziemskich zamkniętą się w ciasnym kręgu swych klasowych korzyści materialnych; wysokie stawki celne na zboże importowane gwarantowały odpowiednio wysoki poziom cen zboża krajowego. Rosnąca liczebnie ludność miejska, zwłaszcza ludność robotnicza, wołała o tani chleb, a głos jej podjęła w parlamencie partia whigów. Whigowie, mimo że rekrutowali się, podobnie torysom, również z klasy ziemian, sprzymierzyli się z miastem i występowali jako reprezentanci przemysłu i handlu, w przeciwstawieniu do torysów, opierających się o wiejski dwór. Walka przeciwko celom na zboże była walką o chleb codzienny dla szerokiej mas ludności angielskiej, o egzystencję szarego człowieka. Gdy w dalszym ciągu, na skutek przypadku w postaci katastrofalnego nieurodzaju ziemniaków w Irlandii, miliony ludzi ujrzały przed sobą w dmo śmierci głodowej, Robert Peel, jako szef rządu, nie widział innego sposobu wyjścia z sytuacji, ani innego ratunku przed nieobliczalnymi następstwami. Walka znielenia cel na zboże i zaopatrzenie kraju w żywność, wbrew interesom partii, którą reprezentował. Dzięki temu krokowi nie doszło do rewolucji na tle głodu, ale za to została dokonana inna rewolucja: radykalna zmiana w gospodarce polityce Anglii na skutek zwycięstwa idei wolnego handlu.

Peel zdradził i stracił partię, ale zyskał naród. Głos sumienia, w połączeniu z praktycznym zdrowym rozumem, kazał mu postawić wyżej interes ogółu, aniżeli interes ludzi z własnego stronnictwa; ponieśli w stosunku do nich jaskrawy akt zdrady, mimo że był krwią z ich krwi i kością z ich kości. Aktem owym rozwiązał wszakże szczęśliwie najbardziej palącą kwestię dnia.

W głębi jego duszy tkwiło przekonanie, właściwe także innym wielkim mężom stanu z angielskich dziejów parlamentarnych, iż reprezentuje on nie tylko partię, lecz i całe społeczeństwo; iż nie wolno mu rządzić wbrew woli większości rządzących, mimo że owa większość narodu nie posiadała jeszcze wówczas odpowiedniego przedstawicielstwa w parlamencie. Poza tym, umiając patrzeć dalej w czas przyszły, widział te ogromne korzyści dla kraju, których nie widzieli jego krótkowzroczni koledzy partyjni, a nawet zwolennicy postępu z przeciwnego stronnictwa. Wprowadzenie rewolucyjnej ustawy o zniesieniu cel było w tego przekonaniu nieuniknione, tak ze względu na wolę głodujących mas, jak i z uwagi na ciężar postulatów najbliższej przyszłości.

Korzyści przewrotu gospodarczo-politycznego z r. 1846 tytułyły przede wszystkim przemysłowego miasta, które dzięki rewolucyjnej ustawie rozszerzyło swe widnokręgi światowe, produkując coraz więcej i coraz więcej z kraju wywożąc. W następstwie wpływu obcego pieniądza za sprzedany towar podniósł się ogólny poziom życia. Na dalszą metę zyskało więc i ziemiaństwo, gdyż przy zwiększonym ogólnym dobrobycie zwiększyło się zapotrzebowanie na płodny rolne.

Korzyść moralna dla całego kraju wynikała z faktu, iż dzięki dobrobytowi zmniejszała się plaszczyna tarcia między wsią a

miastem i nastąpił względny pokój społeczny.

Była korzyść i po stronie partii torysów, której groził po wewnętrznym rozłamie na mniej liczną grupę zwolenników Peela i ortodoksyjną większość los wędrującej reakcyjnej opozycji politycznych malkontentów; przed tym losem uchronił ją Peel, wlewając w jej żyły świeżą krew i wychowując w sensie konieczności dostosowania się do ducha czasu. Whigowie, jako przedstawiciele świata kupców i przemysłowców, a zarazem eksponenci światopoglądu liberalnego, stracili tych z pomiędzy swoich członków, którym bliższe były klasowe interesy agrarne. Zasilili natomiast szeregi swych sympatyków masą robotniczą, która z myślą o tanim chlebie stanęła u boku kupców i przemysłowców, walczących o zwycięstwo idei wolnego handlu. Zyskawszy na skutek tego rodzaju przegrupowań społecznych większą wyrazistość rysów na swym obliczu partyjnym, Whigowie przeobrazili się w liberałów, reprezentujących zarówno świat kapitału, jak i świat pracy. W tych okolicznościach ugruntowana łączna reprezentacja trwała aż po sam koniec wieku (tj. do chwili, gdy warszwy robotnicze poczęły rozluźniać swój związek z obozem liberalnym i organizować własne stronnictwo, późniejszą Partię Pracy). Torysi natomiast przyciągnęli ku sobie wszystkie elementy agrarne i zachowawcze, konstytuując się ostatecznie jako partia konserwatywna (Etykiety „liberal“ i „konserwatysta“ używane już były częściowo około r. 1832. Pełnego znaczenia nabrały wszakże dopiero po kryzysie partyjnym w r. 1846).

Nie wiedział Peel, dokąd prowadzi jego droga, gdy przed stu laty dokonał pomnej rewolucji. Epokowe znaczenie tego faktu osądzone już zostało przez historię na podstawie jego bezpośrednich i pośrednich następstw. Ze znaczenia rewolucji obecnej, związanej z poprzednią stuletnim łańcuchem przyczyn i skutków, a dokonującej się w sensie upaństwowienia podstawowych elementów gospodarki narodowej, trudno na razie zdać sobie sprawę chociażby ze względu na jej niezakończony jeszcze proces. Charakter obecnych fundamentalnych reform pozwala wszakże na ustalenie prognozy co do doniosłości przełomowych następstw, odpowiadających historycznej wadze wypadków dnia dzisiejszego.

Trudno na tym miejscu nie wspomnieć o pewnym skojarzeniu sprawy polskiej z angielskimi interesami w rewolucyjnym okresie rządów Peela. W kalkulacjach „Ligi walki z clami zbożowymi“ nie mogło nie znaleźć odpowiedniej pozycji takie źródło dostaw ziarna, jakim były ziemie polskie w owych czasach, gdy odległe kraje zamorskie jeszcze w rachubę Anglii pod tym względem poważnie nie wchodziły. W otwierającej się erze liberalizmu politycznego i gospodarczego możliwość restytucji państwowości polskiej nie była obca myślom zwolenników nowego porządku rzeczy w świecie. To też jeszcze przed przeprowadzeniem ustawy z r. 1846, w latach agitacji na rzecz zniesienia cel zbożowych, w propagandowej literaturze „Ligi“ ukazało się osiem traktatów: jeden z nich (7-my z rzędu) poświęcony był zagadnieniu przewidzianych stosunków gospodarczych między Anglią i Polską. Karta tytułowa broszury ozdobiona była wnieta, która po jednej stronie przedstawiała robotniczą rodzinę angielską, oczekującą śmierci głodowej, po drugiej zaś Polaków, śpieszących do Anglii ze swym zbożem, lecz masakrowanych przez angielską straż celną. Ciekawy również był projekt jednego z najbogatszych ludzi w Anglii ówczesnej, Abela Smitha, współnika olbrzymiej firmy handlowej „Smith, Payne and Co.“, który zamierzał nabyć w Polsce, za pośrednictwem przebywającego wówczas w Anglii gen. Wł. Zamoyskiego, wielki obszar ziemi nad Wisłą, możliwie najbliższej Gdańska, a następnie zagospodarować według własnych planów i metod Ziemiopłody miały być do Anglii spławiane drogą na Gdańsk. Projekt zaczął przyoblekać kształty bardziej realne na wiadomość o wybuchu rewolucji krakowskiej, z którą wiązano nadzieje na lepszą dla Polski przyszłość polityczną. Nadzieje rozwiąły się jednak szybko pod wpływem wieści o załamaniu się rządów Tyssowskiego i o rzezi galicyjskiej, a w następstwie tego wykonanie projektu zostało odroczone, w dalszym zaś ciągu całkowicie poniehane.

W chórze głosów, wołających o tani chleb dla Anglii, głos o Polsce nie mógł mieć wielkiego rezonansu i wpływu na bieg wypadków, wiążących się z angielskim przewrotem gospodarczym. W każdym jednak razie w owych pamiętnych latach wojny między wsią a miastem, jako też w owej wielkiej chwili dziejowej, kiedy to angielski stan trzeci świecił triumfem, a równocześnie decydował o światowej roli Anglii i o kształcie jej polityki na przełomie stulecia, głos o Polsce był również słyszany.



Międzypartyjne nieporozumienia, a w ich wyniku wypadki rozbicia i secesji na tle stosunku do kwestii cel zbożowych zafamały na jakiś czas wypróbowany system sprawowania rządów za pomocą jednego z dwu kolejno rządzących się stronnictw. Torysi rozszepili się na grupę Peelitów i torysów ortodoksyjnych, a równocześnie analogiczny fakt zaszedł w stronnictwie przeciwnym na skutek apostazji pewnej ilości whigów — agrariuszów, dokonanej na znak protestu przeciwko zagrożeniu ich interesów klasowych. Odłamy te skruszyły się jednakowoż w silnie utwierdzonym systemie dwóch kół miłyńskich; uswięcona tradycja a kierowana instynktem praktyka rządzenia w oparciu o zasadę dwupartyjności przetrwała próbę ognia. Obydwa stronnictwa wyszły z niej oczyszczone i odnowione: społeczeństwu sprezentowali się liberali i konserwatyści.

W obecnych chwilach odbywa się proces podobny. Krusząca od dłuższego czasu partia liberalna stała się prawie niewidoczna na angielskim horyzontie politycznym. Nie wchodzą również w rachubę inne nieliczne, błąkające się grupy. Grę prowadzi reprezentacja idei zachowawczej z reprezentacją idei fundamentalnej przebudowy życia. Był czas, kiedy wystąpienie Labour Party, jako trzeciego partnera obok liberalów i konserwatystów, spowodowało pewne zamieszanie pojęć w politycznej mentalności angielskiej. Od wieków bowiem bywał parlament polem bitwy dwu tylko zorganizowanych stronnictw, — rządzącego i opozycyjnego. Umysłowi, który grę polityczną zwykł umiować według analogii do gry sportowej, anomalią wydawała się gra w trzy partie, na trzy fronty. Czy można w trzy partie rozgrywać cricketa albo piłkę nożną? Przedwojenny, naturze angielskiej obcy stan rzeczy wraca obecnie do normy i równowagi. Dzieje się tedy w dniach obecnej rewolucji to samo, co się działo przed wiekiem: naprzeciw siebie zwierrają się szlaki stronnictwa pracy z jednej strony, z drugiej zaś stronnictwa zachowawczego, z którym związała swe losy, w imię utrzymania status quo ante, pewna część dawnych wyznawców liberalizmu.

\*\*

Kontynentalne komentarze do głośnej „Chlubnej Rewolucji“ angielskiej z r. 1689 mają niekiedy wybitny odcień ironii z powodu jej bezkrwawego przebiegu. Stanowczym cieniem rozgraniczono w owym roku kompetencje króla i parlamentu, ku ogromnej przewadze na korzyść tego ostatniego. Stworzono podwaliny nowożytnego parlamentaryzmu i zapewniowano warunki dalszej stopniowej eliminacji osoby króla, jako czynnika współrządzącego. Nazwano ten fakt „Chlubną Rewolucją“, mimo że ani jedna kropla krwi nie została przelana. Podobny charakter miały przewroty późniejsze, między innymi przewrót z r. 1846.

„Rewolucja“ w rozumieniu angielskim niezłego innego w tych wypadkach nie oznacza, jak chwilowe przyspieszenie tempa procesu rozwojowego; odbywa się bez towarzyszenia szczyku krwi i krwi przelewu; zwycięstwo nie otacza się aureolą chwały oręża. I właśnie dlatego, że oręża nie użyto i krwi nie przelano, a jednak osiągnięto cel w postaci wspaniałego zwycięstwa woli przedstawicieli władzy narodowego nad wolą króla, rewolucję z r. 1689 określono jako „chlubną“. Podobnie wspaniałym był sukces odniesiony w r. 1846, mimo że inne było to walki, inne były cele, inne fronty.

Inaczej też przedstawiają się cele i okoliczności przewrotu z r. 1946; przestrzeń ostatniego stulecia wytworzyła wyjątkowo silne kontrasty między przeszłością a dniem obecnym. Zadnej wszakże zmianie nie uległy wrodzone angielskiemu społeczeństwu sposoby myślenia i metody rozgrywania partii; i nadal uderzają swą odrębnością w zestawieniu z systemem praktyk stosowanych w innych państwach.

Tadeusz Grzebieliński  
(dalszy ciąg nastąpi)

W poprzednim (23) numerze „Kuznicy“ z dnia 17 czerwca 1946 r.:  
Konstanty Grzybowski: Albo antydemokratyczny, albo niepotrzebny. — Seweryn Polak: Margaryta. Powrót. — Adolf Sowiński: Włość Złota Woda. Badian i Panna. — Włodzimierz Majakowski: Na cały głos. — Maria Zarembka: Opowiadania oświęcimskie. — Adam Wendel: Dlaczego chcemy jednoizbowego parlamentu. — Andrzej Jan Baculewski: Dobra tworzą kulturę. — Ewa Korzeniewska: Prozaicy i okupacja. — Kazimierz Brandys: Książka Sędziego Soplicy. Jerzy Burzyński: Wizyta w Szwecji. — Władysław Rymkiewicz: Książka o stosunkach polsko-rosyjskich. — Jan Brzechwa: Casus Kuthan. — Jik: Sprawozdanie Polskiej Akademii Umiejętności. — Ph: Przejąd prasy. — Stanisław Dygat: Z teatru. Produkcja Pana Brandta. — Stanisław Bruczi: Co to jest kataryniarstwo. Noty.

EWA KORZENIEWSKA

## „Próba ognia“ Tadeusza Hołuj \*

Fakt podjęcia przez Hołuj tematu powstania Listopadowego — tematu wielokrotnie opracowywanego przez nlebyłejakich pisarzy — dobrze świadczy o ambicjach autora. Ambicje te to nie tylko myśl o stworzeniu historycznej powieści, to także próba rewizji spraw znanych i uznanych. Rewizjonizm idzie tutaj w kierunku zakreślonym w literaturze przedwojennej przez Kruczkowskiego i Wasilewską. Dotyczy to zwłaszcza samej koncepcji powstania, doli i charakterystyki stanu chłopskiego oraz stosunku dworu do wsi.

„Nie ma w tym kraju narodu... jest klasa szlachty polskiej, twardych dzierżycieli ziemi, wsłuchujących w zakorupioną w zesłowiecznym pojęciu i wyobrażeniu czerepie, rozprawiającą gorliwość o wolności — ale wolność dla siebie, wolności panowania, przodkowania we wszystkim, strzegącą najpełniej monopolu tej wolności. I jest ciemna, upodlona w niedzy i alewoli odwiecznej masa chłopstwa — bezwładna i odrętwiała na ogromnych obszarach tego kraju“. Ta cytata z powieści „Kordian i Cham“ Kruczkowskiego mogłaby stanowić nie tylko motto „Próby Ognia“ — mogłaby także określać postawę Hołuj i wyjaśniać wiele z przyczyn upadku powstania Listopadowego, rozwiniętych w omawianym utworze.

### REWIZJONIZM POLITYCZNY.

Wbrew ogólnie dotychczas przyjętemu obyczajowi, autor nie przedstawia ani spisku pod chorążymi ani nocy w Łazienkach. Rozentuzjamentowani oficerowie z grupy Wysockiego przewijają się tylko jako organizatorzy i łącznicy. Krytycyzm Hołuj od pierwszego momentu każe mu dostrzegać wyraźny skazy na rozpoczynającej się akcji powstańczej. Niezdecydowanie pułkowników, obojętność Chłopcików, którego niechęć do gwałtownych poczynań miesza się z niezadowolonym mifońnikiem teatru, nie mogącego do końca przy patrzeć się grze aktorów — oto pierwsze znamiona późniejszej klęski. Krytyka dowódców trafnie uderza — zresztą zgodnie z tradycyjnym ujęciem — w brak zdecydowania, niewiarę i kompromisowość. Na tle tych najbardziej widocznych przyczyn upadku powstania, autor wywypukła rozdźwięk pomiędzy szlachta, pełną najlepszych chęci, jeśli idzie o walkę z wrogiem, a masami ludowymi, wśród których hasła przywódców nie mogą znaleźć odpowiedniego podłoża i przeobrazić się w jednolity, ogarniający cały naród zryw w obronie ojczyzny. Hasła te — to budzące niewiarę obietnice o zniesieniu pańszczyzny, to marzycielskie utopie bardziej radykalnych demokratów w walce „za naszą i waszą wolność“, to wreszcie próby wykorzystania najłatwiejszej nienawiści, do tyranii Wielkiego Księcia.

Hasła pozostały tym, czym są w Istocie, gdy nie znajdują oddźwięku wyrażającego się czynem — pustymi słowami, kompromitującymi swoich twórców. Obiektywnie i wiernie przedstawione w „Próbie Ognia“ bohaterstwo oficerów i żołnierzy, to sławne polskie bohaterstwo, które idzie z gołymi rękami na armaty, było z góry skazane na tragiczną klęskę. Na tle takiej wyraźnie zarysowanej koncepcji autora, marionetkowo i rozpaczliwie wyglądają gorączkowe próby poszukiwania odpowiedzialnego wodza, a natłuszczone podsypane wiarą w forty Modlina i interwencję zagranicy są trafna ocena charakteru polskiego. Pomijając milczeniem stosunek Francji do Polski, autor zarysowuje ingerencję Prus. W postaci Niemki Jelszowej, przedstawia szpiega pruskiego, który donosi rządowi o rozwoju sytuacji powstania. Akcja ta obejmuje całą grupę osób i charakteryzuje metody niemieckie i cele polityki pruskiej.

### REWIZJONIZM SPOŁECZNY.

Sprawy rewizjonizmu społecznego i politycznego wiążą się ze sobą tak ściśle, że niesłuszną rzeczą byłoby ich rozgraniczanie, gdyby nie to, że sam autor wyodrębniając rozdziały dotyczące wsi, niemal narzuca tę sprawę, jako drugi oddzielny problem. Waga i niezależność tej kwestii zostaje podkreślona jeszcze przez rozpoczęcie książki od opisu wydarzeń w Łipkach Małych w 1818 roku. Krótki kilkunastoroczny ten obrazek przedstawia spór między dworem i wsią, zakończony przez dziedzica sprowadzeniem egzekutorów. Tłum wiejski, zrozpaczony utratą nędznego mienia, wyrusza na skargę do Warszawy, żegnany słowami pana: „O, dobrej Polacy, do cara im się zachcewa“. Drugi fragment znowu przenosi czytelnika do tej samej wsi, powtórnie nawiedzonej przez egzekutorów, którzy tym razem przybyli karać rodzinę chłopów, zbiegłych do lasu przed poborem do wojska. Teraz bunt przybiera charakter nie pokory i poszukiwania sprawiedliwości, lecz gniewu i chęci odwetu. Zbuntowani chłopcy idą gromadą od wsi do wsi, napadając na egzekutorów i dwory.

Celem obu tych fragmentów jest określenie stosunku wsi do narodu i powstania. Ciemni i nieszczęśliwi ludzie nie ogarniali żadnych całości zagadnień. Nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, kto jest ich wrogiem i po czy-

jej stronie jest słusność. Natomiast wiedzą dobrze o tym, że gdy pójdą na wojnę, rodziny ich popadną w jeszcze gorszą nędzę. Dlatego ich stosunek do sprawy powstania wyraża się najprostszymi pytaniami: — Co wsi przyjdzie z tego całego zamętu? — Czy od lat trwającej krzywdy zostaną naprawione? Ponieważ usprawiedliwiona wiekami cierpienia niewinność nie poddaje się sugestii nieobowiązujących obietnic, chłopcy nie chcą i nie pójdą walczyć. Ci sami chłopcy po upadku powstania ocenią niedawną przeszłość słowami: „Nawarzyłście ładnego piwa... a my tu chłopcy cierpieć musimy za was“. Podobne temu stanowisko zajmowali dawniejsi rewizjonści, czego dowodem może być najbliższa tej rewizji, przeprowadzona przez Wasilewską w „Bartoszu Głowackim“.

Obok tego autor przedstawia paru chłopów-żołnierzy, którzy już od pierwszej chwili biorą udział w powstaniu. Stosunek ich do tych niezrozumiałych i bardzo pogmatwanych spraw jest różny. Jedni jak sierżant Mucha — żołnierz z okresu wojen napoleońskich, przyzwyczajeni do dyscypliny, wierzą w siłę oręża nie krytykują i chcą walczyć. Inni, wrosnięci w praktyki kościelne, chętnie zdają wszystko w ręce Boga. Trzecia wreszcie grupa, której przedstawicielem jest Mateusz Borek, przechodzi przez rozmaite wątpliwości i długo nie może wyjść z chaosu spraw i zagadnień.

### „AWANS SPOŁECZNY“ CHŁOPA.

W ramach rewizjonistycznej problematyki Hołuj mieści się również zagadnienie, które można by nazwać „awansem społecznym“ chłopstwa. Dotyczy ono centralnej postaci książki — Mateusza Borka, uczestniczącego w sprawach powstania od pierwszej chwili do momentu przekroczenia granicy pruskiej. Autor, zapewne aby uniknąć łatwej tendencji, nie wybrał na swego bohatera człowieka zorientowanego w zagadnieniach społecznych. Mateusz Borek jest ciemnym, przeciętnym chłopem tamtych czasów, rozumującym początkowo tak jak Bartek Zwycięzca. „Borek sknął głową. Za dużo walczył się nań, chłopski rozum mówił mu, że trzeba się bić, od tego jest chłopska wojna, przedtem nie było kogo bić“. — Albo — „Wszystkie znaki na ziemi i niebie mówią o zbliżającej się wojnie, nie wiedzieć tylko z-kim. Przecież nie z Moskałami, bo są pod Moskałem. Z Prusakami — a Moskał i Prusak to dwa przyjaciela“.

Borek wpłątany nagle w bardzo powikłane sprawy i zagadnienia polityczno społeczne, długi czas nie może się w tym wszystkim zorientować. Tym więcej, że przyzwyczajony wierzyć ludziom mądrzejszym od siebie, nie wie po czyjej stronie jest słusność. Czy ma wierzyć postępowemu, mleszczoaminowemu Szydłowskiemu, czy szlachetnemu entuzjastce walki podporucznikowi Jurzyńskiemu, czy wreszcie księdzu, który zza krątek konfesjonu nakazuje żalować za złamanie przysięgi — królowi Polski — Najjaśniejszemu panu — temu królowi, do którego gromada chłopów z Lipek wniosła skargę na dziedzica. Chłopi - żołnierze zaczynają porównywać i oceniać, jeszcze zdezorientowani, ale już zaczynający rozumieć, że ich interesy są inne niż interesy szlachty i że dla nich wojna miałaby sens tylko wówczas, o ile by przyniosła faktyczne zniesienie pańszczyzny i możliwość pracy dla siebie na własnej ziemi. Tego rodzaju myśli i zniechęcenie do beznadziejnych walk skłaniają Borka do kradzieży i zdezerterowania z wojska. Zdobyty spryt i orientacja w świecie podsuwają mu marzenia o Ameryce, bogactwie i wolności.

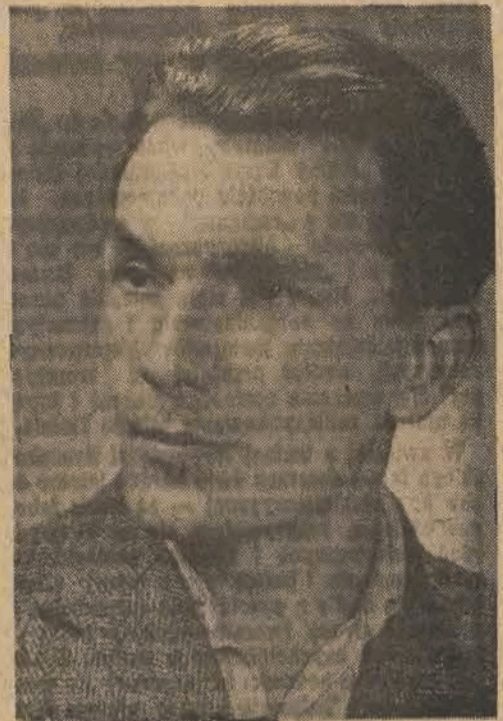
Jednakże Borek nie jest już obojętny dla tego, co się dzieje, chodzi na zebrania, bierze udział w krwawych rozruchach i wreszcie wraca do swojej kompanii. Wraca bo „Swoboch opuścić w potrzebie nie umie, a i pokazać chęć, żem nie carski stronnik...“. W drodze ku granicy pruskiej wielu oficerów opuszczało pułk, żołnierze uciekali w lasy, Mateusz pozostał wierny towarzyszom. Pozostał wierny także i dlatego, że już rozumiał dokładnie, iż powrót do siebie oznacza dwie niewolę — carską i szlachecką. Sprawa rozwoju wewnętrznego Borka, dojrzewającego do porzucenia odpowiedzialności i solidarności grupowej, jakkolwiek w powieści jest sprawą drugorzędą, uzupełnia i wzbogaca problematykę społeczną utworu.

### REALIZACJA ARTYSTYCZNA.

Poza tym celem wprowadzenie Mateusza Borka jako głównej postaci utworu dawało piarzowi możliwość spojrzenia na cały przebieg wydarzeń świeżymi oczyma kogoś, kto dopiero chce i musi zorientować się w otaczającym go świecie. Takie założenie mieszczytanie ułatwiło rewizjonizm i otwierało wielkie możliwości artystyczne świeżego przedstawienia rzeczywistości historycznej.

Jednakże chociaż zamiary i tezy autora były ciekawe i słuszne — ich realizacja napotykała na poważne przeszkody. Jedną z naj-

\*) Tadeusz Hołuj „Próba ognia“. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik“ 1945 r.



TADEUSZ HOŁUJ

ważniejszych jest fakt, że samemu autorowi nie udało się wejrzeć w tamte czasy świeżymi oczyma artysty. Hołuj, czerpiąc wiernie historycznie wiadomości z książek naukowych i literatury, nie zdołał zapomnieć o lekturze i osiągnąć konkretnej wizji wydarzeń.

### REMINISCENCJE LITERACKIE.

„Próba Ognia“ zawiera wiele reminiscencji literackich i to dwóch rodzajów. Jedne, o których była mowa wyżej, dałyby się nazwać reminiscencjami ideologicznymi — inne są może nieświadomym rezultatem chłonności artystycznej pisarza i odzwierciedlają wpływ rzemiosła pisarskiego.

Autorem sięgającym w przeszłość najtrudniej przychodzi wyzwolić się spod wpływu Sienkiewicza. Życie się z autorem „Trylogii“ widać u Hołuj nie tylko z pewnych, dalekich zresztą podobieństw postaci chłopów z „Próby Ognia“ a Bartkiem Zwycięzcą. Znaczenie wyrażonej występującej ślady techniki sienkiewiczowskiej w opisie bitew. Dotyczy to zarówno ogólnego rozplanowania i przebiegu walk, jak i skoncentrowania uwagi czytelnika wokół jednej postaci, która przypomina bohaterów Homera. Bohater walk u Sienkiewicza zwykle wysuwa się naprzód, przed swoich towarzyszy, ogarnia go szalony rozmach bojowy, sieczie na prawo i lewo, osoba jego i czynny zasięgu na rozwinięte epickie porównania, dzięki którym skupia na sobie zainteresowanie i wyrasta ponad przeciętny tłum towarzyszy bojowych. A oto fragmenty z „Próby Ognia“: „Borek wysunął się naprzód... O dziesięć kroków od biegnących z opuszczonymi łbami Rosjan przysiadł Mateusz na mgliste nie oka i raptem wyprostowawszy się odbił się jak piłka od ziemi... Wzniósł ramię odtrącając sztych, opuścił, trzasnęły pogruchotane kości... Mateusz pośliznął się i wraz z innymi nogę w fioletowo-zielone flaki, wypływające rannemu z brzucha, ledwo wyszarpnął ją, gdy już nowy przeciwnik zagroził mu drogę“.

Wspomnienie „Reduty Ordona“ budzi onis obrazy Woli, nie tylko z powodu tożsamości tematu. Znowu widać tu wrażliwość estetyczną autora, który patrzy na walkę poprzez słowa i obrazy Mickiewicza. „Żołnierze rosyjscy rzucali w rowy faszyny... Zielone mundury obsiadły szanice obszernej pozycji. Wyspa dymi wystrzałami. Wokół niej morze żołdatów... Czarne kolumny błąd o brzozi, przenikają do wnętrza. Pod szanicem pęczką się wały trupów...“. Podobieństwo uderza tym silniej, że autor w opisach innych bitew posługuje się językiem znacznie bardziej zbliżonym do mowy potocznej. Tutaj pojawiają się w dużej obfitości przenośnie, porównania i uosobienia.

Najbardziej konwencjonalnymi literacko rozdziałami są te, w których Hołuj opisuje dom Jelszów. Zamiast szlachetnej prostoty i realizmu innych fragmentów pojawia się sztuczność stylu i demoniczny postać Jelszów — to jedyny w utworze „czarny charakter“, potraktowany bez opanowanego obiektywizmu i innych ludzi z „Próby Ognia“. Metoda opisu w tych fragmentach budzi może nawet nieświadomione przez autora skojarzenia z powieściami Żuławskego. „U okna obszernej biblioteki Jelszowej siedziała czarna szczupła kobieta, gryząca w zamyśleniu piękne pióro i stukając żółtymi, kościstymi palcami o czarny dąb sekretarzyka“.

Oczytanie autora w tekstach źródłowych wyraża się szlachetną ścisłością historyczną w ujęciu całości zagadnień. W tekście książki przejawia się wielorazowym podawaniem dat „Rankiem 20 lutego kanonada wzmożła się z całą gwałtownością“, i konkretnymi wiadomościami „Feldmarszałek Dybicz Zabałkanski ma — jak nam donoszą — 86.000 piechoty, 22.800 jazdy, 4.000 kozaków, 396 armat“.

Prócz tego kilkakrotnie pojawiają się przemówienia ujęte w ramy cudzysłowów.

### POWIEŚĆ HISTORYCZNA CZY POWIEŚĆ DOKUMENTARNA?

Słowa Kruczkowskiego we wstępie do „Kordiana i Chama” mogłyby wiele wyjaśnić ze struktury „Próby Ognia”. „Kordian i Cham” jest w całości powieścią dokumentarną. Nie ma w niej nic z „romansu” w tradycyjnym pojęciu powieści historycznej — nie ma w niej fabuły i „bohaterów” na miarę fantazji autorskiej. Nie, praca moja polegała przede wszystkim na zorganizowaniu i dramatycznym uruchomieniu materiałów historycznych zebranych, wzdłuż przyjętej osi tematycznej. To wyznaczone cenione pióro i krytyka ułatwiają zaklasyfikowanie książki Hołuj.

W związku z trafnej wypowiedzi Kruczkowskiego łatwo dostrzec dwie bardzo istotne cechy powieści historycznej — są nimi: fabuła powieściowa, rozgrywająca się na tle wydarzeń historycznych i fikcyjne postacie, których przeżycia i koleje losu z jednej strony wiążą się ściśle z przebiegiem wypadków, — z drugiej strony tworzą oddzielny świat zainteresowań psychologicznych autora. Trudno jest myśleć o powieści historycznej nie wspominając Lwa Tolstoja i może właśnie dlatego, że przeżyto się dojrzałą epickością tego pisarza nie podobną nie wysunąć trzeciej cechy powieści historycznej — epickości.

Książka Hołuj chce ogarnąć możliwie najwzschodniej sprawę powstania na tle życia i układu stosunków społecznych w Królestwie Kongresowym. Stąd rodzi się fragmentaryczne przedstawienie rozmaitych spraw i grup ludzkich, niepołączonych ani fikcją powieściową, ani naczelną postacią. Autor przetrzuca opowiadanie ze wsi do Warszawy, z frontu do klubu demokratycznego — z domu Jelszów do mieszczańskiej Szydłowskiej. Opisuje różne środowiska, zarysowuje miarostwo problemów Borek, główna postać książki nie może połączyć wszystkiego, jakkolwiek wiele spraw istotnie wiąże i spaja. W rezultacie pojawia się niejednorodność, a nawet niekonsekwencja w sposobie przedstawiania wydarzeń. Czasem autor opowiada od siebie, kiedy indziej ogląda życie i jego sprawy oczyma Mateusza lub innej postaci. Często osiąga plastyczność poszczególnych obrazów, ale zatracając plastyczną wyrazistość i harmonię całości — ważne cechy prawdziwej epiki.

Dlatego może słuszniej byłoby nazwać książkę Hołuj powieścią dokumentarną. Wóć czas tej techniki pojęta jako „montaż” w określeniu Kruczkowskiego we wstępie do „Kordiana i Chama” — wykaże swe właściwości i zalety. Jedną z najważniejszych jest konsekwentne uporządkowanie materiału według jednolitej koncepcji, nie artystycznej lecz ideowej. Druga — surowy obiektywizm autora, który zakładając za góry pewne tezy, umie się ustrzec od dydaktyzmu i tendencjonalności. W „Próbie Ognia” nie ma postaci ani wyidealizowanych, ani przyciemnionych (wyjątek Jelszowa). Bora krądnie, oszukując przyjaciela, Skrzynecki pokazany jako niedolny wódz, umie wnieść się w momencie przekazywania władzy gen. Dembińskiemu do szlachetnego gestu wyrzeczenia i rycerskiej godności.

Hołuj zgodnie z założeniami powieści dokumentarnej, obejmującej rozległy zakres zagadnień, nie daje szerszej zarysowanych typów, ani charakterów. Natomiast większą wagę przywiązuje do charakterystyki grup i całego narodu. Ogólne właściwości Polaków: brak zmysłu politycznego i zdolności organizacyjnych, marzycielstwo, skłonność do łatwych iluzji, piękne bohaterstwo w walkach — te cechy występują wyraziście na tle rozgrywających się wydarzeń.

Powieść Hołuj według obietnicy autora we wstępie, jest początkiem większej całości. „Próba Ognia” jako udany egzamin sił pisarskich, pozwala ze zrozumiałym zainteresowaniem oczekiwać dalszych etapów rozwoju talentu pisarza.

Ewa Korzeniewska.

## Siedem dni

## Płomień

to co PSL uważało za stosowne wypowiedzieć, mimo że w całym cytowanym przez „Gazetę Ludową” przemówieniu Laskiego nie ma słowa na potwierdzenie powyższego nagłówka. Czyżby te nagłówki były obliczone na pól-główków?

Dzięki upartej działalności PSL-u temperatura przedwyborcza bezwzględnie wzrosła. Siła rzeczy rozgorzała walka wewnętrzna, obfitująca w wiele tragicznych i komicznych momentów. Nie mogąc znaleźć ucieczki na arenie międzynarodowej, megalomania narodowa prawnicy rozładowała się w sprawach wewnętrznych, naśladować do złudzenia przedwojenną „mocarstwość”. Wtedy prawnicy polska, dzięki ówczesnemu układowi sił mogła wyładować swoje mocarstwowe popędy w torpedowaniu sojuszu sowiecko-francuskiego i w montowaniu osi — dzisiaj pozbawiona wszelkich iluzji i możliwości naśladowe... brytyjska. Zabawa dzieci w dorosłych. Nawet słowa tych dzieci są zaczernione z podsłuchanych rozmów dorosłych Anglików. Pan Bańczyk, mówiąc o PSL-u i stronnictwach KR-u określa PSL zaimekiem „my”, a PPS, PPR, SL i SD jednym „wy”; podobnie Churchill łączy wszystkie kraje pozostające poza wpływami Anglii w jedną całość oddzielną „żelazną kurtyną”. Pan Bańczyk wymyślił małą żelazną kurtynę na użytek wewnętrzny. Cóż kiedy naśladowanie Churchilla i „mocarstwość” zmieszczało się w końcu na samym PSL-u. Podobnie jak w wielkim świecie brytyjskim, Bevin — labourzysta zszedł na manowce imperializmu, kierownictwo PSL-u zapomniało o ludowości. I tu i tam, w wielkim i małym świecie, znaleźli się ludzie, tam labourysty, a u nas PSL-owcy, którzy przypomnieli Bevinowi, że jest labourystą, a Miłkołajczykowski że jest ludowcem.

Wystąpienie Harolda Laski, przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Partii Pracy w Londynie zbiega się z wystąpieniem Tadeusza Reka, Bronisława Drzewieckiego, Kazimierza Iwanowskiego, Michała Reksa i Edwarda Bertolda, członków Rady Naczelnej i NKW PSL na łamach „Wyzwolenia”.

I reszcie członków PSL-u należą życzyć Laski „Wyzwolenia”.

... Rojewski

## PRZEGLĄD WYDAWNICTW

**JÓZEF DOMINKO**, Z minionych lat. Wspomnienia działacza-społdzielcy z okresu pracy na terenie Lublina. „Czytelnik” 1945, str. 55. Jest to ciekawa powieść o życiu i pracy działacza społecznego, który wyszedłszy z upośledzonej społecznie klasy robotniczej — własnym trudem, hartem i wytrwałością zdobył podstawy wiedzy i wykształcenia i zajął wreszcie poważne stanowisko w ruchu spółdzielczym. Walka z przeciwnościami środowiska była tym trudniejsza, że toczyła się wśród takich burz dziejowych, jak rewolucja rosyjska w roku 1905 i pierwsza wojna światowa w latach 1914—18.

Wspomnienia doprowadzone są tylko do roku 1926, kończą się echami procesu, wytoczonego przez władze sanacyjne, Lubelskiemu Stowarzyszeniu Społyców. Ta instytucja spółdzielcza, jedna z najbardziej wzorowych w Polsce, była solą w oku władców przedwzrostowych, ponieważ: 1) manifestowała otwarcie swą przynależność do ogólnego ruchu socjalistycznego i 2) interesowała się żywo i realnie losem więźniów politycznych. Zmontowano w końcu proces, jakich wówczas było wiele, który w ostatniej instancji zakończył się uniewinnieniem wszystkich oskarżonych. „Dowody winy” stwarzano łatwym i niezawodnym sposobem. Tak np. autor wspomnień aresztowany został akurat w chwili, gdy wracał z Urzędu Pocztowego, niosąc w kieszeni wycięte za skrytki korespondencje; szczególnym zbiegiem okoliczności znalazł się tego dnia wśród niej — numer nielegalnej gazety, nadesłany oczywiście anonimowo.

Na kartkach wspomnień Dominki znajdujemy też sylwetki szeregu działaczy społecznych dawniejszej i dzisiejszej ooby. Wśród tych ostatnich zainteresuje z pewnością czytelników postać obecnego Prezydenta KR-u — Bolesława Bieruta, który — jako praktykant w jednej z drukarni lubelskich i kolega Dominki raz z nim rozpoczynał nietłwą karierę żywioła.

**EDMUND OSMANCZYK**, Walka jest zwycięska. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego, Katowice, 1945, str. 59 i 1 n.

Wieczny syn ziemi nadodrzańskiej — Edmund Osmanczyk jest dobrym i ruchliwym dziennikarzem, autorem żywych reportażów, drukowanych w licznych czasopiśmie polskich. Te publicystyczne zalety nie wystarczają jednak, gdy chodzi o przetłumaczenie swych myśli i uczuć na język poezji, choćby źródłem takiego zamiaru były nawet najszlachetniejsze najgorętsze wzniesienia patriotycznego sereja. Znalezienie właściwego i własnego wyrazu dla doznań osobistych jest w poezji sprawą decydującą. Gdy to mówienie zawodzi, stajemy w obliczu zwykłej retoryki i patetyczności, werbalizmu i manieryzmu, które mają latać i kłajstrować niedostatkami poetyckiej formy.

Julian Przybyszowski mówi, że „Poezją jest to, co nie da się powiezieć językiem potocznym — prozą”. Wydaje mi się, że wiele spośród wierszy Osmanczyka, pisanych w latach wojny lub bezpośrednio przed jej wybuchem, dałoby się przełożyć na prozę — to z korzyścią dla zawartej w nich pojęciowej treści. Nie zrobimy z publicystyki poezji, szafując małuskimi słowami „Wielkość”, „Wolność”, „Zwycięstwo”, tak samo jak nie wykrzeszemy w czy-

telniku świeżych wzniesień lirycznych za pomocą wyrazów „wolność — radość”.

Wiersze Osmanczyka nie są równo co do siły i wartości poetyckiego wyrazu. Powiedziałbym, że pisane dawniej, bez nacisku wojennej grozy, osiągnęły wyższy stopień formalnej poprawności, choć ta poprawność nosi niejednorodny ślad obcego wzoru i pomysłu. Natomiast późniejsze stają się dość często rymowanymi publicystyką, traktującą o sprawach wiadomych i uznanych powszechnie. Zawarte w tomiku wiersze przeplatane są gęsto autobiograficznymi komentarzami, które tłumaczą genezę i etnologię utworu, by kontakt z czytelnikiem uczynić ściślejszym. Pomysł jest w zasadzie dobry, sam przez się jednak głębszego współgrania wytworzyć nie może.

bd

**RAJMUND BUŁAWSKI**, Problemy osadniczo-przedsiębiorcze ziem odzyskanych. Bimro Studów osadniczo-przedsiębiorczych, Zeszyt II, Kraków, 1945, str. 110, 1 n.

O powadze i trudnościach kwestii założeń-ia ziem odzyskanych świadczą już choćby jej aspekty cyfrowe: ziemia te mogą i powinny wchłonąć 7 i trzy czwarte milionów ludności polskiej, w czym na miasta przypadłoby 3 miliony. Zakładając konieczność i masowość szybkiej akcji przedsięwzięcia, trzeba ją oprzeć na zasadach starannej selekcji i prowadzić w ten sposób, by przedsiębiorcom zapewnione były warunki pomyslnego — gospodarczego i kulturalnego rozwoju. Są to zagadnienia dość trudne i skomplikowane, które nie dają się rozwiązać kilkoma pociągnięciami pióra w najcięższym choćby artykule dziennikarskim. Tu jest właśnie miejsce na plan, w całości i szczegółach dokładnie przemyślany i uwzględniający przede wszystkim różnice i odrębności poszczególnych grup przedsięwzięczych.

W swej poważnej i starannie opracowanej książce, opartej na solidnym materiale statystycznym, Buławski rozpatruje kolejno trzy rodzaje osadnictwa: włościańskie, folwarczne i miejskie. Omawiając wszelkie wynikające z tej specyfikacji potrzeby i zadania, autor słusnie kładzie nacisk na t. zw. kolonizację rejonową, spółdzielnie parcelacyjną oraz patronat miast na starych ziemiach polskich nad miastami na ziemiach odzyskanych. Kolonizacja rejonowa polega na tym, że każdy rejon kolonizacyjny powinien zasilać rejon kolonizowany, zbliżony do niego pod względem warunków naturalnych, gospodarczo — społecznych i kulturalnych, co zapewni powstanie środowisk jednolitych i zwartych. Patronat nad miastami polega nie tylko na przesiedlaniu do nich rozmaitych zespołów zawodowych, ale również obejmuje organizację pomocy administracyjnej i technicznej w okresie przejściowym siłami miast patronackich. To są pewne idee podstawowe, które powinny kierować całą akcją przedsięwzięcia.

Akcja ta wymaga, zresztą szeregu prac przygotowawczych o charakterze statystycznym i przygotowawczym, program tych właśnie zarysowany został w końcowym rozdziale książki Buławskiego.

bd

Z dniem 1 lutego br. Związek Nauczycielstwa Polskiego rozpoczął wydawanie czasopisma dla młodzieży szkół średnich pn. „Płomień”.

Do tej pory wyszły trzy numery. Z zainteresowaniem i dużą dozą sympatii śledzę rozwój tego pisma, gdyż przez 5 ostatnich przedwojennych lat współpracowałam w „Płomyku” i „Płomyczkach”, a nawet w „Zawodowcu” i dotychczas czuję się wciąż uczuciowo związana z całym wydawnictwem. A przez lata okupacji wraz z innymi współpracownikami „Płomyka” układaliśmy plany, jak po odzyskaniu wolności stanemy na nowo do pracy. Wiele mówiło się wtedy o stworzeniu pisma dla dorastającej młodzieży i właśnie pod nazwą „Płomienia” krystalizowała się w naszych rozmowach idea takiego czasopisma, które by wypełniało lukę między „Płomykiem” a społeczno-literackim piśmiennictwem dla dorosłych.

Nie wszyscy dożyli niestety tej szczęśliwej chwili, ale marzenie dla okupacyjnych urzędników się, „Płomień” istnieje, rozwija się i wierzę mocno, że z czasem stanie się tym prawdziwym Płomieniem, w którego „świećcie” kiełkują i dojrzejają śmiałe myśli i czyny młodych — jak mówi p. E. Zarembina w artykule z I numeru p. t. „Siła młodych”.

Ale nie łatwa to rzecz redagowanie „Płomienia”. Trzeba zdać sobie dokładnie sprawę, dla kogo i co chcemy pisać. W jaki sposób nawiązać żywy kontakt z młodzieżą, zdobyć jej zaufanie, zjednać ją dla pisma i wciągnąć w istotną współpracę, aby stała się nie tylko biernym czytelnikiem, ale i współautorem.

„Płomień” musi spełnić rolę osnowy, na której młode umysły jak czółenka tkackie uprzedzą własną różnorodną treść. I to jest właśnie wielka zasługa Redakcji, że przynajmniej szczerze wobec czytelników do trudności, z jakimi walczą i że zwywa do pomocy młodzieży, aby jej w tej żmudnej pracy niosła pomoc.

Ta gotowość służenia potrzebom czytelnika, rzetelna troska o postawienie narodu z „żałobnego pochylenia” daje gwarancję, że idea „Płomienia” nie pójdzie na marne.

A choć w tych pierwszych numerach „Płomień” pełni jeszcze świeżką grobową, choć nie zdołał dotąd podźwignąć się i okrzepnąć, otrząsnąć z siebie okupacyjnych wspomnień, sądzę, iż każdy następny zeszyt przynosić będzie nowe osiągnięcia.

O tym, co było, pamiętać należy, ale nie błądzić wśród grobowców. Nie wolno nam zapomnieć, ale też nie wolno wiecznie nastuchiwać kroków, które umikły.

Młodzież buntuje się przeciw cierpiętnictwu, chce żyć pełną pierśią, walczyć i zdobywać. Pismo jej poświęcone, musi wskazywać drogę, wprowadzać we wszystkie dziedziń życia. Musi posiadać mocną postawę społeczną, nie cofać się przed zagadnieniami politycznymi, nie ukrywać trudności ekonomicznych, z jakimi walczy świat powojenny.

I dlatego dobrze jest, że w „Płomieniu” zjawiają się takie artykuły, jak „Mosty na Wisłę” inż. J. Teligi, gdzie obraz pracy rzeczywistej, jej tempo i cel mocniej przemawia do młodych umysłów niż pusto brzmiące frazy o odbudowie.

Dobrze, że abstrakcyjne terminy matematyczne dzięki jasnemu, popularnemu objaśnieniu nabierają dla uczniów praktycznego sensu, zachęcają ich do opnowania pozornie nudnych matematycznych wzorów, aby mogli łatwiej kontynuować studia techniczne. Polscy trzeba przede wszystkim wykwalifikowanych techników i inżynierów.

Będzie to poważnym osiągnięciem „Płomienia”, jeżeli potrafi rozbudzić w tym kierunku zainteresowanie młodzieży i wychować zastęp przyszłych konstruktorów maszyn, mostów i budowli.

Trudno omówić w krótkim artykule treść i wychowawcze znaczenie wszystkich prac, które dotąd ukazywały się w „Płomieniu”. Wiele z nich jest zapewne wstępem do odpowiednich cyklów, jak „Warszawa — nowoczesna stolica”.

Inne jak „Wies jako źródło sił biologicznych narodu”, posiadające charakter informacyjny pogłębione zostaną na pewno przez odpowiednie naświetlenie.

Sędzię mówiąc w wyżej wspomnianej pracy ważne byłoby położenie nacisku na wzajemne oddziaływanie wsi i miasta tak w sensie materialnym jak i społeczno — politycznym.

Nie małe znaczenie posiada również przewodnik w świecie książek, interesujący i rzeczowo redagowany w „Płomieniu”, ale czy już nie nazbyt ostrożnie pod względem doboru rzekomo zbyt radykalnych tekstów?

Płomień rośnie. I coraz jaśniejsz będzie rozświetlać młodzieży wszystkie zagadnienia, które ją nurtują. Ale to jeszcze nie wszystko! Niechże „Płomień” nie tylko rozjaśnia, niech spełni jeszcze inną, nie mniej ważną rolę: wywoła, którego nazwę nosi. Niech oczyści atmosferę życia młodych z miazmatów hitleryzmu, niech przepali wszystko, co było złym dziełem okupacji, a w dusze młodzieży wszczępi etykę prawdziwego człowieczeństwa.

Wanda Grodzieńska

Prenumerata zapewnią regularne otrzymywanie „Kuznicy”. Zaprenumerować można w każdym urządzeniu pocztowym. Prenumerata kwartalna wynosi 75 zł.

NOWOŚĆ

JÓZEF MORTON

**Inkluzowe wiano**

powieść

str. 320

cena 150 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”

Czytajcie i prenumerujcie

„KUZNICĘ”

## Przegląd prasy

W poprzednim przeglądzie prasy sygnalizowaliśmy wzrost pozycji czasopiśmienniczych, narzekając na to, że wzrost ten widoczny jest przede wszystkim w dziale pism regionalnych, często nie spełniających swoich zadań, przy równoczesnym zastoiu w dziale pism naukowych.

Bieżący tydzień wydawniczy przyniósł nam nowe wydawnictwo, którego pojawienie się bezwzględnie zainteresuje ogół czytelnicy kraju. Wydawnictwem tym jest „Myśl Współczesna” — czasopismo naukowe wydawane w Łodzi. Kolegium redakcyjne „Myśli Współczesnej” składa się z przedstawicieli nauk zarówno przyrodniczych jak i humanistycznych. Redaktorem odpowiedzialnym jest prof. Zygmunt Szymanowski.

Do kolegium redakcyjnego wchodzi: Chałasiński Józef, Fiedler Franciszek, Gąsiorowska Natalia, Kotarbiński Tadeusz, Krauze Bronisław, Schaff Adam, Ulaszyn Henryk, Zółkowski Stefan. Redaktorzy działów: Ehrlich Stanisław, Barski Jerzy.

W artykule redakcyjnym kolegium wyjaśnia cele i zadania nowego pisma. Sądząc, że kilka zadań, które znajdujemy w artykule wstępnym, pozwólmy czytelnikom zorientować się w programie nowopowstałego wydawnictwa, cytujemy je dosłownie: „Myśl Współczesna” pragnie stać się organem naukowym całej postępowej inteligencji polskiej. Skupiając w Komitecie Redakcyjnym przedstawicieli rozmaitych dziedzin nauki, rozmaitych światopoglądów i kierunków politycznych, „Myśl Współczesna” nie zamierza trzymać się doktrynersko jednego określonego kierunku. Rozumiejąc potrzebę ścierania się poglądów, „Myśl Współczesna” stoi na stanowisku swobody dociekań naukowych i pragnie przyczynić się do powstania w Polsce silnego i głębokiego nurtu twórczości naukowej. Jako jedyni warunk wysuwa czasopismo wobec swoich współpracowników — rzetelność naukowego poznania i szacunek dla naukowego wysiłku”. Zespół redakcyjny „Myśli Współczesnej” wyraźnie zaznacza swoje stanowisko w kwestii powiązania nauki z życiem społecznym, oświadczając, że „Nauka odradza się nie tylko w postaci wznówienia empiryzmu. Potęguje się także zainteresowanie dla związków wiążących naukę z życiem społecznym, z głębokimi przeobrażeniami wewnętrznej struktury poszczególnych narodów”. Podkreślając, że odrodzenie nauki w każdym kraju odbywa się w zgodzie z historią danego kraju, zespół redakcyjny zwraca uwagę na zagadnienie zasadnicze: „Oddania nauki w służbę społecznej przebudowy kraju i świata”. Wobec tak wyraźnego, odzignującego się od jałowych akademizmów, programu, staje się oczywistym, że nawiązując do postępowej tradycji myśli polskiej i jednocześnie objawiając „aktywne zainteresowanie dla nowego miejsca chłopów i robotników w życiu i kulturze narodu”, grupa postępowych pracowników nauki oświadcza, że „nie wolno lekceważyć niczego co niedługo kształtowało nasz naród i jego kulturę i nie wolno uronić niczego z cennego dorobku kulturalnego przeszłości. Pragnąc kształtować polską naukę w trwałym sojuszu z myślą postępową, musimy znać i doceniać to, co było twórcze i postępowe w przeszłości”. To stanowisko wskazuje dobitnie, że tylko postępowy obóz myśli polskiej, zarówno dziś jak i w przeszłości, docenia wielkie znaczenie tradycji kulturalnych, dokonując jednocześnie wyboru tych tradycji i nie odnosząc się do nich bezkrytycznie. Jeśli rozejrzemy się wśród licznych naukowych wydawnictw zagranicznych, wypadnie nam stwierdzić, że „Myśl Współczesna” jest najbardziej zbliżona do organu Ruchu Odrodzenia Francuskiego „La Pensée”. Ruch Odrodzenia Francuskiego, nawiązując do tradycji wielkich encyklopedystów jest wykładnikiem nowego humanizmu, wiążącego pracę uczonego i artysty z życiem narodu i z jego walką o postęp, o nowy, naprawdę wspaniały świat.

Natomiast wydana nakładem „Czytelnika” praca ppłk. Jerzego Kirchmayera „Geneza powstania warszawskiego” posiada wszelkie cechy rzeczowej i obiektywnej publikacji, która przy całej swojej przedmiotowej oszczędności zdolna jest wywołać w czytelniku do głębszego wstrząsu tym bardziej że nie ma chyba Polaka, któryby nie czuł potrzeby poznania przyczyn klęski. Wartość tej pracy polega przede wszystkim na tym, że po przeczytaniu jej każdy uczęty Polak, bez względu na przekonania polityczne dochodzi do wniosku, że gdyby nawet przywódcy powstania nie zgryźli głupotą polityczną, ale stanęli przed trybunałem, jako wyżsi oficerowie odpowiedzialni za decydującą operację wojskową, mogłoby liczyć tylko na wyrok potępiający. Ogarnia nas dziś przerażenie, gdy dowiadujemy się, że teren całej Polski miał być objęty falowo wybuchającym powstaniem lokalnymi, i to pod dowództwem tych ludzi, którzy pozabawieni najprostszego instynktu politycznego żyjący w średnio-wiecznych koncepcjach kawalerskich ataków na czołgi, okazali, że nie posiadają najważniejszej cechy dowódców — decyzji.

dobieństwa i różnice obu — amerykańskiego i radzieckiego — systemów wychowania i kształcenia. Wreszcie znaczna część pracy jest poświęcona zagadnieniom niezgodności między rzeczywistością społeczną a systemem nauczania w Polsce i kreśli zadania wychowawcy w nowej Polsce, zaznaczając, że nauczycielstwo wypełnić je może tylko „określając na nowo swoje miejsce w społeczeństwie — w stosunku do głębokich przeobrażeń społecznej struktury, stosunku do ruchu chłopskiego i robotniczego”.

Tadeusz Kotarbiński pisze o „Zasadach dobrej roboty”, omawiając wszystkie sposoby zwiększenia technicznych walorów działania.

O „Demokracji i jej wartości etycznej” ogłasza referat Borys Łapicki. W dziale przyrodniczym pierwszego numeru „Myśli Współczesnej” znajdujemy artykuł Zygmunta Szymanowskiego „Zagadka życia i odrodzenia samorodztwa” oraz artykuł Jerzego Konorskiego „W dziesiątą rocznicę śmierci I. P. Pawłowa”.

„Kronika francuska” zawiera materiały związane z Ruchem Odrodzenia Francuskiego, a więc manifest Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego, oraz teksty przemówień wybitnych uczonych francuskich, członków redakcji Nowej Encyklopedii, Pawła Langevin, Henri Wallon, Jerzego Teissier. Z „Manifestu”, który jest jednocześnie zwięzłym programem nowej Francji intelektualnej, pozwalamy sobie zacytować kilka zdań, świadczących podobnie jak i przedmowa kolegium redakcyjnego „Myśli Współczesnej” o jednakowo pozytywnym stosunku do przeszłości i do jej wielkich tradycji postępowych: „Wiemy, co duch francuski zawdzięcza przeszłości. Czego można by dokonać dziś wartościowego bez całkowitego uznania naszego wielkiego dziedzictwa? Nie chcemy przypisywać całej zasługi jakimkolwiek kierunkowi myśli filozoficznej w przeszłości; byłoby zbrodnią pozwolić wyschnąć wielkim źródłom, z których po dziś dzień geniusz naszego ludu czerpie i odnawia swą siłę...”. Manifest wymienia następujące tradycje, zawsze żywe w kulturze francuskiej: źródło chrześcijaństwa, tradycja rzymska, prąd błyskotliwego krytycyzmu i ironii, historyczny rozwój klasy robotniczej, wzrost jej siły i świadomości w ciągu stulecia.

„Kronika ekonomiczna” przynosi obszerną monografię węgla w powojennej Europie, pióra W. Karry. „Kronika przyrodnicza” — artykuł Jerzego Barskiego o syntetycznej penicillinie.

Numer zamyka dział recenzji, gdzie m. in. znajdujemy ocenę pracy Konstantego Grzybowskiego o demokracji angielskiej, dokonaną przez Józefa Chałasińskiego. Obserwując powolne lecz stałe formowanie się ośrodków myśli humanistycznej i postępowej w dziedzinie literatury, jesteśmy zdania, że zorganizowanie się podobnego ośrodka w dziedzinie nauki, będzie miało ogromne znaczenie dla kształtowania się nowego życia intelektualnego w Polsce. Sądzimy, że ten polski „ruch odrodzenia intelektualnego” będzie miał również wielkie znaczenie społeczne, że ideologia myśli postępowej i swobodne dociekania naukowe dopomoga nam wyjść z rozmaitych ślepych zaułków na szerokie drogi współczesnej kultury europejskiej.

## Z TEATRU

### „Uczeń diabła” w teatrze Wojska Polskiego



Scena ze sztuki G. B. Shawa „Uczeń Diabła”

## Uczeń diabła

Nie mogę sobie przypomnieć niestety, angielskiego tytułu tej wczesnej sztuki G. Bernarda Shawa. W każdym razie użyte przez tłumacza słowo „diabeł” — jest zupełnie nie trafne, gdyż nie uwzględnia różnicy między znaczeniem tego pojęcia dla nas, którzy patrzymy na nie w dużej mierze poprzez zabawne i naiwne baśnie ludowe, a znaczeniem, jakie na tym pojęciu ciąży w surowej i ponurej atmosferze kościoła anglikańskiego, znaczeniem, jakie ono ma, jakie szczególnie w XVIII-ym i XIX-ym wieku miało dla zakonnic i w straszliwym konwencjonalizmie obyczajowym purytań.

Jest to sprawa bardzo istotna, bo stanowi o sensie wystawionej obecnie przez Teatr Wojska Polskiego sztuki Bernarda Shawa. Diabeł purytański — to antychryst, źródło bezbożnictwa, źródło wolności, która budzi zgrozzenie przełamując ich mieszczniańską moralność i obyczajowość. Jeszcze dokliwiej niż niegdyś w swojej epoce Moliere, niż Wilde niż inni — wskazuje sarkastyczny Bernard Shaw w całym szeregu swoich sztuk (szczególnie tych wczesnych) na obłudę, nieprawość i śmieszność takiej „bogobojnej” moralności w „Uczniu Diabła” człowiekiem o prawdziwej wysokiej moralności okazuje się ów rewolucjonista „dabełski uczeń” — Ryszard Dudgeon — skazany w swym mieszczniańskim środowisku na niesławę i ogień piekielny. Moralnym jest też pastor Anderson — o tyle właśnie, o ile odnosi się niechętnie do szczerze, obłudnych form otaczającej go obyczajowości i w gwałtowny sposób przelamuje je wreszcie.

To jest jeden nurt tendencji, o którą się ta sztuka wspiera. Nurt załamujący się zresztą w końcowych scenach na kokieteryjnej refleksyjności, która wyrzeka się wszelkich ostatecznych ocen i którą często napotykalmy w satyrycznym uśmiechu późniejszego Shawa.

Drugi nurt w tej sztuce — to tendencja polityczna. Bernard Shaw, ten Irlandczyk z pochodzenia, ale równocześnie pisarz całkowicie

angielski, nie omija nigdy żadnej sposobności, aby wydukać na swinno dzienne zarówno śmieszność jak i przewrotność angielską, jest bezlitosny w wytykaniu palcem najbardziej kompromitujących faktów w historii swego kraju. To też w „Uczniu Diabła” armia angielska, zwalczająca z pomocą zaciekłych Niemców amerykański ruch wolnościowy, oskarżona została przez autora i ośmieszona z całą bezwzględnością jaskrawością. Choć w ostatnim momencie i ten nurt spływa do wspólnej rzeki żartobliwego pobłażenia.

Całość jest bardzo niejednołita. Jak właściwie wszystkie sztuki Shawa, całość, od wszelkich wzorów klasycznych, pełne pomieszanych ze sobą scen mocnych i lekkich, dramatycznych i satyrycznych. Wygląda to tak, jak gdyby w każdej ze swych sztuk chciał Shaw pomścić się za wszystko, co o danej sprawie myśli. A myśl, dwa słowa. Jest zbyt inteligentny aby pisać być tylko dramatycznym — a na być mądry, aby być tylko satyrykiem.

Niejednołitość utworu, o którym mowa — to właśnie, owoc tej niejednołitej postawy. Nie mogliśmy jednak twierdzić, że przez to sztuka jest zła. Przeciwnie, jest to sztuka napewno bardzo dobra dzięki swym wspaniałym poszczególnym scenom i poruszanym sprawom. Ale skutkiem tej niejednołitości stawia tym bardziej odpowiedzialne zadania scenarzystom — a przede wszystkim aktorom i reżyserom.

Widowisko, jakie możemy oglądać obecnie w Teatrze Wojska Polskiego — na ogół odznacza się niestety niemiłą, lepszą grą, jeżeli chodzi o większość aktorów, grą, którą przeważnie nie trafia w sedno tej nieszablonowej, niejednołitej atmosfery sztuki. Szukamy winy u scenarzystów: Dekoracje i kostjumy Daszewskiego doskonale i niezawodnie budują od strony plastycznej te sztuki Shawa, wydobywają jej różnorodny nastrój. Krasnowiecki w swej reżyserji, pomyślał o ogólnym ujęciu całości, o konstrukcyjnym otworzeniu i zamykaniu aktów. Ale z niektórymi scenami i sytuacjami, a przede wszystkim z niektórymi postaciami scenicznymi — jest już nieco gorzej. Widocznie reżyser nie pomyślał w ostatecznej mierze o aktorach. Zresztą, to co wy daje się tu być niezbyt dobre, jest winą zarówno reżysera jak aktorów. Chojnacka, jako pani Dudgeon, grała po obranej linii znakomicie — ale ta linia nie była całkowicie trafna, nie prezentowała straszliwie zimnej purytańskiej damy, jaką sugeruje utwór i jego historyczna prawda. Zupełnie zaś nie do przyjęcia okazał się zespół dalszej rodziny Dudgeon — Willam i Willamowa, Tytus, i Tytusowa. Ci, co mieli za zadanie scharakteryzować przeciętne oblicze purytańskiego środowiska — nie zrobili tego zupełnie. Byli bezbarwni, bez żadnego wyrazu.

Judyte Anderson grać miała Ryszarda Hannin, dublowała tę rolę Górska i ja widzieliśmy jako Judyte. Niestety rola ta — niezwykle trudna, bo stojąca o włos od melodramatyzacji, a jednocześnie niestwierdzenie ważna, bo dodatkowo wiążąca i komplikująca sprawę Ryszarda Dudgeon i pastora Anderson — nie została w dostatecznej mierze przez Górską zbudowana ani pod względem udziału w akcji, ani pod względem zaprezentowania wyjątego ze środowiska typu.

Zapał Krasnowiecki, w roli generała Burgoyne — bliski i znakomity, jak najbardziej na swoim miejscu w tej sztuce. Zupełnie dobry jest Damiński jako Ryszard Dudgeon i Hańcza jako pastor. Pozostali w właściwym miejscu wydają mi się być i Borowski jako Krzysztof Dudgeon i Lidia Zamkow jako Esterka. Natomiast Pietraszkiewicz w roli majora Swindon zrobił stanowczo przesadną groteskę, nie mieszczącą się w ramach sztuki.

W sumie jednak widowisko jest interesujące i mocne. A wydo było w nim momenty historyczne, poruszone w nim sprawy — niby odległe, a mimo to nie pozbawione pewnej aktualności.

Tadeusz Kubik

## Geneza powstania warszawskiego

O powstaniu warszawskim pisano już dużo. Temat ten jednak do tego stopnia rozjątrzył umysły publicystów, że na ogół nie byli w stanie wyzbyć się balastu uczuciowego przy omawianiu tej tragedii narodowej.

Natomiast wydana nakładem „Czytelnika” praca ppłk. Jerzego Kirchmayera „Geneza powstania warszawskiego” posiada wszelkie cechy rzeczowej i obiektywnej publikacji, która przy całej swojej przedmiotowej oszczędności zdolna jest wywołać w czytelniku do głębszego wstrząsu tym bardziej że nie ma chyba Polaka, któryby nie czuł potrzeby poznania przyczyn klęski.

Wartość tej pracy polega przede wszystkim na tym, że po przeczytaniu jej każdy uczęty Polak, bez względu na przekonania polityczne dochodzi do wniosku, że gdyby nawet przywódcy powstania nie zgryźli głupotą polityczną, ale stanęli przed trybunałem, jako wyżsi oficerowie odpowiedzialni za decydującą operację wojskową, mogłoby liczyć tylko na wyrok potępiający. Ogarnia nas dziś przerażenie, gdy dowiadujemy się, że teren całej Polski miał być objęty falowo wybuchającym powstaniem lokalnymi, i to pod dowództwem tych ludzi, którzy pozabawieni najprostszego instynktu politycznego żyjący w średnio-wiecznych koncepcjach kawalerskich ataków na czołgi, okazali, że nie posiadają najważniejszej cechy dowódców — decyzji.

W przeddzień wybuchu powstania nie ulegało wątpliwości, że ziemie polskie zostaną wyzwolone przez Armię Czerwoną, a nie przez aliantów zachodnich. Najprostszą strategią narkozywa wtedy współdziałanie z Rosją, ale dowódcy powstania stosowali taktykę, która miałaby może wojskowe uzasadnienie, gdyby to sy wojny potoczyły się tak, jak przewidywano w roku 1941, przed Stalingradem. W pierwotnej koncepcji powstanie miało być wojskowo skutecznym uderzeniem na wycofujących się z Rosji Niemców, którzy chcąc osłonić własną ziemię od potężnego uderzenia Anglosasów zrezygnowaliby z rozprawy z „wykończoną” prawie Rosją, wobec której dowództwo AK chciało zastosować metodę zbrojnej demonstracji. Trudno czym innym, niż ślepotą polityczną tłumaczyć fakt, że latem 1944 r. w krańcowo innych warunkach, niż sobie przywódcy AK wymarzyli, nie zarzucono tej właśnie myśli zbrojnej demonstracji.

Sąd i świadectwo ppłk Kirchmayera mają dla dziejów powstania warszawskiego znaczenie kapitalne, gdyż autor jako jeden z czynnych działaczy dowództwa AK nie może być poświadczony ani o brak informacji ani o zgóry niechętnie ustosunkowanie się do zagadnienia powstania.

\* Jarzy Kirchmayer. Geneza powstania warszawskiego. Warszawa „Czytelnik” 1946.

Juliusz Żulawski

**N O T Y**

**KSZTAŁCENIE CHARAKTERU**

Wyjątki z książki Aleksandra Korewy pt. „Kształcenie charakteru” Wrocław 1946 nakładem księgarni „Postępek”.

**Dedykacja:** „Młodym Entuzjastom, którzy pragną budować Polskę od wewnątrz! Tym, którzy postanowili reformę świata zacząć od reformy siebie”.

Str. 80, rozdział pt. „Uporządkowanie myśli”:

„Najskuteczniejszym środkiem na uporządkowanie myśli jest rozmyślanie czyli uważne wpatrywanie się w swój ideał i zarazem budzenie w duszy upodobań do niego, wynajdywanie i przeżywanie bodźców, któreby nas zachęciły do realizacji go w życiu. Bo jakże jest główną przyczyną połowiczności: naszej? Brak głębokich przekonań. Rozum nie przemedytował jeszcze wszystkich pobudek, które nas skłaniają do całkowitego poświęcenia się ideałowi. Otóż na rozmyślaniu analizujemy wartość ludzi i rzeczy, z którymi mamy do czynienia i przekonujemy się coraz lepiej, że dla przelotnych doznań zmysłowych nie warto tracić dóbr duchowych. Przystajemy wtedy pełzać po ziemi i wywołamy się z zaszarowanego koła namierelności”.

Str. 102, rozdział pt. „Trening”:

„Trening ma doprowadzić władze duszy i ciała do możliwości największej sprawności”.

Na przykład, ktoś potrafi bez większego zmęczenia zrobić na dzień 20 kilometrów. Jeżeli zastosuje umiędliwy trening, to po pewnym czasie będzie mógł przemarszować, również bez większego zmęczenia, 30 albo 35 kilometrów. Co więcej, sprawność, powstająca wskutek wielokrotnego powtarzania tej samej czynności — również i nawyk — pociąga za sobą te następstwa, że czynność usprawnioną wykonujemy coraz łatwiej, coraz doskonałej, a nawet coraz przyjemniej”.

Czy wyobrażacie sobie ile przyjemności osiągniecie 60 km?

Str. 108. Niektóre z zasad pracy nad sobą: „poskramiać ciekawość, nie wypytywać się natarczywie o nowinki; powstrzymać się od spojrzeń, które tylko z ciekawości pochodzą, zwłaszcza nie przyglądać się. Dopóki nie opniemy oczu, dopóki nie jesteśmy panami siebie”;

„ograniczyć czytanie gazet — jak to smutno, gdy człowiek staje się niewolnikiem gazet i żyć bez niej nie może...”

nie szukać zbyt wygodnego posłania, np. miękkich piernaków, pierzyn, które rozleniwiają człowieka i na zmysłowy ton nastrajają. Im twardsze posłanie, tym zdrowsze dla ciała i duszy;

nie grać się przy nocu, odmówić sobie od czasu powąchania miłego kwiatka. Str. 111:

„Najtrudniej przychodzi opanowanie doryku:

1) jest rozgąseńiony po całym cieple wraz ze zmysłem ciepła, z którym jest ściśle spokrewniony;

2) jest nam nieustannie potrzebny, więc też i niebezpieczeństwo nadużycia go jest nieustanne;

3) jest najbardziej prymitywny ze wszystkich zmysłów: stoi na pograniczu między światem roślinnym a zwierzęcym, sygnalizuje się od jednego świata do drugiego. Za miślny zmysł nie styka się tak ściśle z materią, to też okazuje się najbardziej oporny na opływanie ducha — w stosunku do niego nie można być dostatecznie ostrożnym. Oddaje mu się w niewolę, człowiek najbardziej pożąca za swą godność, gdyż wtedy rozum uzależnia się od nierozumnej materii. Wszelkie doznania seksualne do kategorii sluchu należą. Terapia tego zmysłu strzeże się w krótkim zdaniu lacińskim noli me tangere, co się wyklada na język polski: „ręce przy sobie”.

Str. 124! Raz jeszcze: „Przez z pierzynami, Przygrzewają ciało i powodują niepotrzebne komplikacje. Gdy gnębi bezsensownie, wykapnąć się albo przynajmniej zmyć głowę zimną wodą.”

**Bibliografia:**  
Rudolf Allers, Das Werden der sittlichen Person, Freiburg im Breisgau, 1935. 4., XX + 316.

Dr Alexis Carrel, Człowiek, istota nieznana, Warszawa (bez roku, ok. 1938), s. 272.

Bibliografia wyjaśnia wiele — zarówno zawarte w niej nazwiska autorów, jak czas i miejsce wydania ich dzieł. Jakże fakty społeczne tłumaczą wydanie książki, p. Korewy w r. 1946?

**METAFIZYKA ESESOWSKA**

W Nr. 4 „Życia literackiego” Edward Jastrząb ogłosił wielką rozprawę z krainy belkotu p. t. „Meta marksizm”, z której dowiadujemy się, że już Kant wykrył skłonność do przeżyć bezinteresownych z punktu widzenia biologicznego, że „wiek XIX zapoczątkował proces mechanicznej kastracji pejzażu”, po czym „Przyroda wyrodniła w instynkcie życia, w wielkomiejskim wyładowaniu energii” itd. Ob. Jastrząb wychwala „socialistyczny humanizm” hitlerowskiego kolaboranisty de Mana. Ob. Jastrząb wielbi antydemokratyczne wywody Jądżwinga, któremu przypisuje decydującą rolę historyczną w naszych czasach. „Pokołenie nasze zostało duchowo ocalone w momencie, gdy dzięki akcji

pisarskiej Jądżwinga, ujawniony został bezsens ewangelii walki, głoszonej na różne sposoby przez Darwina, Spencera i Hegla”... No i patrzcie, ocali nas ten Jądżwing, a myśmy o tym nic nie wiedzieli. Ob. Jastrząb chce ocalić nas po raz drugi i w Nr. 10 „Życia literackiego” ogłasza manifest jakoby literacki. I tu nie opuszcza go troska o pejzaż. „Tłumy ludzi służących w lotnictwie, powędziały nam także, że początkowa faza cywilizacji technicznej zafalazowała gruntownie przyrodzony kształt krajobrazu”. Świat oglądany z lotu Jastrzębia ukazuje nam jednak rzeczy znacznie istotniejsze. Autor manifestu, którego głównym postulatem jest obcowanie w sztuce żywych z umarłymi, szczególnym zbiegiem okoliczności nie może się zdobyć na jedno choćby zdanie o przedśmiertnych cierpieniach milionów ofiar hitlerowskich, natomiast bardzo obszernie potrafi pisać o zadawaniu śmierci. Oto jakie rewelacje wynurza ją się z krainy belkotu:

„Czujecie smak dysproporcji: ów ped rozpierających wewnętrznie perspektyw, w neurastenicznym klimacie urwadu, sklerozy, anemii! Ta słabość rozlana w powietrzu — chwila, gdy życie zanika i ciśnienie opada we krwi jeszcze na pół zatrutej sześciolatnim zmęczeniem wojennym. Napływ dławiącej szarżyny, brząsk fioletowy i trupi, wyjście z odurzenia.”

Uwaga — w tym miejscu czuwajmy. W Niemczech po pierwszej wojnie światowej, na pokrewym podłożu psychologicznym, zorganizował się ów szatański zakon policyjny, bractwo czarnej śmierci, znaczone cyframi SS.

Nieważne jest, że oni byli przegrani, a my należymy do grona zwycięzców. W danym wypadku obchodzi nas jedynie periodycznie występująca chęć przewycięzenia neurastenii, chęć wyjścia poza powszedniość, zbyt ciężką i monotonną dla ludzi wdrożonych do śledztwa, podróży, gwałtu, pościgu i wojny. W ich krwiobiegu bez przerwy natęga się prężyć, płyną kilometry, odległość pociąga i wola — roślinie tęsknota do powszechności zespólanej w obrocie motorów i kół — z dnia na dzień wzmagą się odurzający stan rozkołysania — ów zmysł nieskończonej wędrówki, sycony ekstazą kontynentalną. „Wzdech wieczności w czasie” już raz został straszliwie spaczony.

Mistyka hitlerowska wykształciła się poza religią. Ten zakon czcicieli potęgi wyzwolonej w walce, śledził przeblęski energii witalnej wśród tortur, spagnionymi piemiennymi objawieniami, chciał życie do bólu natężyć, dostrzec dokąd uchodzi z milionów ciał umęczonych.

Sens germańskiego sadyzmu był metafizyczny. Kluczem doświadczeniem w obozach przewodził dwóch doktora Fausta, jego wnikiwość okrutna i straszna, badająca rozmiar i głębię cierpienia.

Tych ludzi zaraził i przejął jad trupi towarzyszy zmarłych — obcowali z gnijącą mściwością z daremny i rozpaczliwym rozkładem. Fetor odwetu bił od nich. Niemcy od razu przynieśli ze sobą grymas ohydny fabrycznej, chemiczny fiolet i czerni krajobrazu, martwy techniczny demonizm, wrogi wobec wszystkiego co organiczne i nieprzepuszczone przez filtry biurokracji śledczej”.

W masowych morderstwach esesowców ob. Jastrząb widzi — metafizykę. Zdaniem ob. Jastrzębia trybunały, które sadyż obecnie niemieckich morderców, noszących tytuły doktorów medycyny, wydają wyrok na dra Fausta. Fakt wymordowania milionów ludzi spowodował się dla ob. Jastrzębia do „metafizycznego sensu germańskiego sadyzmu”. Chcielibyśmy wreszcie dowiedzieć się, kim ostatecznie jest ob. Jastrząb, złośliwym zbiegiem z domu zdrowia, czy osobnikiem obarczonym zbyt dobrą znajomością obyczajów esesowskich? W każdym razie „Życie literackie” za daleko posunęło swoją tolerancję w stosunku do chemicznego fioletu, czerni krajobrazu, ekstazy kontynentalnej, metafizycznego brzuchomówstwa i bardzo intymnego obcowania z esesowcami. rkm

**LITERATURA I SZKOŁA**

W związku z pobytam pisarzy i uczonych sowieckich w Polsce, a w szczególności z wielce ciekawym przemówieniem profesora pedagoga Kairowa na wieczornej pogawędce w klubie Pickwicka w Łodzi w dniu 11 czerwca, chciałabym zwrócić uwagę że zainteresowanie pedagogów literaturą piękna jako środkiem wychowawczym i stosowanie tego środka w życiu szkolnym jest w Polsce od dość dawna. Kontakty między literatami a pedagogami są żywe i stałe. Postępowe nauczy-

cielstwo w szczególności nauczycielstwo szkół powszechnych, wychowawcy i kształcący przede wszystkim dzieci warstw najszerzych robotniczych i chłopskich, zrozumiło korzyści stąd płynące, rozumie je coraz pełniej i stosuje coraz obszerniej. Jest to tym łatwiejsze może, że spora garść naszych pisarzy (a nasi poeci i prozaicy pisujący dla dzieci rekrutują się także i z pomiędzy pisarzy „dla dorosłych”) jest jednocześnie pedagogami (jakim np. był nieodżałowany, zamordowany przez Niemców na swej placówce pisarz i genialny pedagog Janusz Korczak). Nasi pisarze biorą duży udział w wychowaniu młodego pokolenia, choćby przez specjalne pisanie utworów do podręczników szkolnych (jak np. Boguszcaska, Bobińska, Gojazińska, Nałkowska, Dabrowska, Szemburż-Zarembyna, Januszcaska, Krzemieniecka i inni). Przez swój udział w siedmiu specjalnych czasopismach dziecięcych i młodzieżowych (jak Brzechwa, Broniewski, Szymański, zamordowany niedawno przez Niemców, nestorka piśmiennictwa dziecięcego Porazińska, Kownacka, Grodzieńska, Koszutska i inni). Podkreślić też należy, że pisarze nasi często

sami są autorami i redaktorami podręczników szkolnych do nauki języka polskiego (jak np. Janina Broniewska, Ewa Zarembina) lub współautorami jak Porazińska, Szuchowa, Ozógowska.

Pisarze nasi mają żywy i bezpośredni kontakt z dziećmi i młodzieżą przez wieczory autorskie w przedszkolach, szkołach powszechnych i średnich, w świetlicach. A niektórzy z nich także przez wykłady o literaturze dla młodzieży starszej, kształcają się na nauczycieli i przedszkolanki w specjalnych zakładach lub kursach tego rodzaju.

Osobny dział stanowi współpraca pisarzy w kukielkarstwie i filmie dla dzieci — ta jest jednak dopiero zapoczątkowana, choć już zapowiada się interesulaco.

Moło jest więc stwierdzić nam, że nasi kolędy w ZSRR czynią u siebie podobnie: że nawiazali bezpośredni, cenny kontakt pisarza dla dzieci i młodzieży z wychowawcami i samymi młodymi czytelnikami. To zbliży nas, to tym owocniej pozwoili współżyć nam i tworzyć dla jednego celu: wychowania lepszego, mądzejszego człowieka.

E. Sz. Z.

**Jubileusz pierwszego zjazdu pracowników kultury**

„Iżnie przez Lwów jakiś podziemny nurt. Przyjeżdżamy z różnych stron kraju, z Wilna, Krakowa, Poznania, Warszawy, płuczemy się w wagonach setki kilometrów, a przecięż po przybyciu na miejsce, opada zmęczenie. Idzie z nami zwycięska młodość, zwycięska jedność i nowa siła, która rodzi się w brataniu w zjednoczeniu, w szczerości, zrozumienia wzajemnego.”

Tak pisał przed 10 laty w dwutygodniku „Oblie Dnia”, jeden z uczestników pierwszego zjazdu pracowników kultury, 16 maja br. obchodzimy dziesięciolecie tego zjazdu, warto więc uświadomić sobie jego znaczenie cele i rezultaty na tle ówczesnych stosunków politycznych.

Rok 1936 — ruch faszystowski panoszy się coraz wyraźniej, bankrutwo i zginiłna burżuazyjna kultura idzie w parze z niewolą twórczej i wyzwoleńczej myśli.

Imperializm z całym cynizmem hanoluje krwią, triumfuje kosztem praw człowieka.

Wszystko sprzyjęło się przeciw antyfaszystowskiemu. Aresztowania, konfiskaty pism postępowych krwawe nawet zajęcia uliczne, oto sytuacja polityczna w samej Polsce.

Intelektualiści i myśliciele światła decydują się podjąć walkę z imperializmem, zorganizować zwarte kadry obrońców kultury, mających potężny podwaliny z niezależnej antyfaszystowskiej twórczości.

I oto w czerwcu 1935 r. odbywa się zjazd antyfaszystowskich pisarzy w Paryżu, a rok później 16 maja 1936 r. jest pierwsza tego rodzaju manifestacja w Polsce. We Lwowie, gdzie odbył się zjazd spotykają się wszyscy pisarze intelektualni polscy, żydowscy i ukraińscy, solidaryzujący się z wyzwoleńczym ruchem mas pracujących aby po wspólnych naradach i porozumieniach zgają wyraźnie określone, zdecydowane przez ogół, stanowisko wobec faszystowskiego szowinizmu.

Referaty, dyskusje, obrady były pierwszym poważnym dorobkiem formującego się w Polsce zdecydowanego ruchu antyfaszystowskiego.

Uczestnicy, którzy stali na stanowisku frontu ludowego, oają wyraz swemu uniesieniu w artykułach gęsto poprzeczanych białymi pla-

mami konfiskat. Słowa, które „uchowały” się dają nam jednak wyobrażenie całości.

„...Ta sama radość, która rozsada piersi każdego z nas, która każe śpiewać, krzyczeć, cieszyć się, ta sama radość i upojenie bije z twarzy i oczu otaczających nas tysięcy robotników. Nareszcie jesteśmy razem, naprawdę w jednym szeregu. Nareszcie stwierdzona została wyraźnie i bez osłonek przynależność nasza do klasy, z którą wspólnie walczymy i której chcemy służyć...”

Równoległe do zjazdu toczą się przygotowania do Światowego Kongresu Pokoju w Londynie. Zjazd stojąc na stanowisku wspólnej walki wszystkich wyzyskiwanych i gnębionych przez faszizm, bez względu na narodowość, nawołuje więc przede wszystkim do zgłoszenia akcesu do światowego kongresu pokoju w Londynie, — pisząc:

„...wojna imperialistyczna godzi bezpośrednio w dobrą kulturalną sjećą spustoszenie i demoralizację, niszcząc najdroższe zdobycze kultury, pozostawiając po sobie morze krwi przelanej przez miliony pracujących w obecnej wroglej im sprawie...”

Wyrazem zrozumienia swych obowiązków w walce z wojną imperialistyczną o pokój wszystkich postępowych pracowników kultury jest uchwalona rezolucja, której wyjątki, a raczej strzępy cytuje „Oblie Dnia” wśród białych plam cenzury i to w drugim już nawet nakładzie po konfiskacie.

A oto fragmenty:

„...Zjazd wypowiedział się stanowczo przeciw zbrodniczej agitacji nacjonalistycznej, leżące w interesie faszyzmu, pragnącego poróżnić masy wyzyskiwanych i rozbić ich solidarną walkę w obronie praw”.

Zebrań zgłaszają pełny akces do mającego odbyć się we wrześniu kongresu pokoju w Londynie, który skupi wszystkich szczerych przeciwników wojnych z różnych obozów i przekonań.

Zjazd pracowników kultury stwierdza, że w chwili obecnej bierna i rzekomo neutralna postawa twórcy wobec zjawisk społecznych i wobec walk o ludzkie prawa równa się popieraniu pozycji reakcji, godzącej w postęp i wolność”.

Helena Adamezcaska

**PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO**

podległe Ministerstwu Aprozacji i Handlu, Rejon Krakowski w Krakowie, ul. Kopernika 6, tel. 566-98

Rachunek czekowy w B. G. K. Nr 340 oraz P. K. O. Nr IV-1055

Zrzesza browary:

**Okocim, Żywiec, Kraków, Grybów, Zarszyn, Tarnobrzeg oraz słodownię w Tarnowie**

Produkuje piwa jasne 7° i 9°. Znany z dobroci porter 22° i piwo ciemne 15° z Browarów Okoćimskiego i Żywieckiego ukaza się wkrótce w sprzedaży.

GENY OGŁOSZEN: P iumna zł 60.000; 1/3 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probné ogłoszenia 25 ct mm na 1 szpalcie.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D—09468

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205 42

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia

Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.